Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT • NR 5 (1845) • 30 stycznia–5 lutego 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Miller: groźniejszy niż Braun

str. 3

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

PRZYJACIELE

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223607 05

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 132b4b8a81

WOJNA DOMOWA

Warszawski sąd rejonowy umorzył sprawę Jarosława Kaczyńskiego związaną z tym, jak na komisji ds. Pegasusa prezes tłumaczył podsłuch u Brejzy: „Panie członku komisji, w tym wypadku chodziło o pokazanie opinii publicznej, że znaczący polityk formacji opozycyjnej dopuszcza się bardzo poważnych, a przy tym odrażających przestępstw". Sprawę z oskarżenia prywatnego wytoczyli Kaczyńskiemu Brejzowie. Sąd uznał, że „te słowa paść nie powinny, bo nie są one obiektywnie prawdziwe" – ale jednocześnie nieprawda prezesa nie jest „społecznie szkodliwa w stopniu wyższym niż znikomy". Abstrahując od oceny wyroku – czego ponoć czynić nie wolno, w imię poszanowania dla niezawisłości sędziowskiej – nie uważacie, że to urocze, iż sędzia ogłosił mniej więcej wprost, że pierdolenie polityków jest bez znaczenia i nikt nie powinien brać go na serio?

Innego zdania zdaje się być min. Żurek, który wystąpił do sejmu z wnioskiem o uchylenie immunitetu Antoniego Macierewicza w związku ze „znieważeniem kierownictwa SKW podczas i w związku z wykonywaniem obowiązków służbowych oraz pomówieniem o zachowanie, które mogło poniżyć te osoby w opinii publicznej i narazić na utratę zaufania potrzebnego dla pełnienia stanowisk". Znieważenie oraz pomówienie nastąpiło w debacie nad rosyjskimi dronami nad Polską, kiedy to Macierewicz ogłosił, że „to był początek wojny", i dodał, że „tę wojnę możemy wygrać", chyba że „szefostwo Służby Kontrwywiadu Wojskowego będzie się nadal składało z agentów rosyjskich, których pan Donald Tusk mianował w 2011 roku". Naszym zdaniem już pierwsza część tej wypowiedzi – że możemy wygrać wojnę z Rosją – wskazuje, że jej autor powinien podlegać bardziej leczeniu niż sądzeniu, ale chętnie wysłuchamy argumentów stron w tym sporze prawnym.

I jeszcze w temacie wojny: premier Tusk ogłosił na posiedzeniu Rady Ministrów: „Dzisiaj mamy też powód do wielkiej satysfakcji i wszystkim zaangażowanym w to naprawdę bardzo poważne dzieło chcę serdecznie podziękować". I jeszcze dodał, że on wie, iż „statystyki, liczby już nie robią większego wrażenia – może dlatego, że okazaliśmy się rządem bardzo skutecznym, jeżeli chodzi o mobilizowanie środków i krajowych, i zagranicznych, jeśli chodzi o polską obronę". Otóż chcieliśmy uspokoić Pana Premiera: na nas liczby robią wrażenie. Zwłaszcza fakt, że właśnie zaciągnął 200 mld zł długu, który ma być spłacany do 2070 r. – czyli cztery dekady po tym, jak Ruscy mają nas zaatakować, zdaniem wybitnych specjalistów od straszenia Rosją. Premier pochwalił się też, że pożyczka, którą zaciągnął z UE na zbrojenia „to są większe pieniądze niż cały budżet obronny Hiszpanii albo cały budżet obronny Włoch". Może komuś powinno to dać do myślenia?

Na przykład w kontekście informacji z Radomia, gdzie w mroźną noc w nieogrzewanym mieszkaniu zmarło niemowlę, mimo iż miało na sobie kilka warstw ubrań, ocieplacz, kombinezon, rękawiczki, pokrowiec i koc. Media donoszą o tym, dodając z niejaką nieufnością, że „matka zapewnia, że w wieczór przed tragedią było napalone w piecu kaflowym" stanowiącym jedyne ogrzewanie mieszkania. Jakoś nikt nie pyta, jak to możliwe, że w „dwudziestej gospodarce świata" matki z małymi dziećmi – i generalnie ludzie – mieszkają w lokalach, gdzie jedynym ogrzewaniem są stuletnie piece kaflowe. Kamienicznik, do którego należał ten budynek, próbuje go sprzedać, informując w ogłoszeniu, że dom jest „wolny od lokatorów". Coraz wolniejszy w każdym razie.

Po tym, jak prezydent Trump ogłosił, że sojusznicy Ameryki dekowali się na tyłach frontu w Afganistanie, prezydent Nawrocki odpowiedział, że nie czuje się dotknięty, bo wie z pewnego źródła, że Trump nie mówił o Polsce. Prezydent RP dołożył błyskotliwą uwagę, że „największe larum ponoszą często ci, którzy jeszcze nie przeprosili za obrażenie polskiego żołnierza, choć są Polakami" – co było zapewne wycieczką pod adresem premiera Tuska. Premier zareagował w tonie wyważonym: „Kwestia godności polskiego munduru stała się poważnym wyzwaniem, także dyplomatycznym. Będziemy działać w sposób bardzo przemyślany, odpowiedzialny, ale też stanowczy, zawsze wtedy, kiedy polski interes narodowy czy honor polskiego żołnierza będzie w jakikolwiek sposób narażony na szwank". Działanie wtedy, kiedy polski interes narodowy jest narażony na szwank w kontaktach z USA, to byłaby niejaka nowość w 37-letniej historii III RP – ale nie czekamy na to z zapartym tchem.

Wicepremier Sikorski spotkał się z prezydentem Nawrockim, po czym ogłosił, że „rozmowy były konstruktywne, a momentami nawet sympatyczne". Bardzo się cieszymy, w końcu nie możemy oczekiwać od najwyższych urzędników w państwie, żeby pracowali w niesympatycznej atmosferze, może ich to narazić na wypalenie zawodowe. Jednakże nieco nas niepokoi fakt, iż do porozumienia nadal zdaje się daleko – zwłaszcza jeśli chodzi o ambasadora RP w Waszyngtonie. Sikorski upiera się przy Bogdanie Klichu: „Przypominam, że Bogdan Klich to więzień komunistycznych więzień za czasów PRL, a to, że prawa strona uznaje go za zamachowca smoleńskiego, nie jest dla mnie podstawą do skreślenia pana senatora". Teoria zamachu jest oczywiście śmieszna – ale fakt, że p. Klich, z zawodu psychiatra, był ministrem obrony narodowej w momencie, w którym wojskowy pilot rozpierdolił prezydenta RP z całą delegacją, może być powodem do niepowierzania mu kolejnych poważnych zadań spoza zakresu jego specjalizacji. Z kolei PiS podobno chce na ambasadora RP w USA niejakiego Nikodema Rachonia, znanego wyłącznie z bycia bratem Michała, który przebierał się za chuja i sądził, że ludziom skojarzy się to z Putinem. Ławka wydaje się nieco przykrótka.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

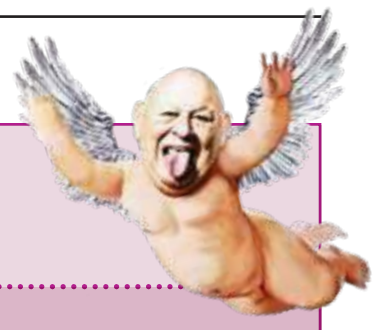

Styczeń 2014 r.

Świętego Franciszka S.

Kaczyński obiecywał, że jak PiS dostanie władzę, wpompuje w gospodarkę bilion (1000 mld) zł. Widocznie ma taki zaskórniak. Ponieważ bilionem Polska byłaby przekarmiona, powinien oddać połowę Ukrainie dla zniwelowania obiecywanych rosyjskich restrykcji celno-handlowych. PiS jednak chce, żeby forsę dawała Unia Europejska, a Kaczyński i Hofman dołożą do niej gorące przemówienia i liczne konferencje na temat Ukrainy. W Kijowie sześć trupów, ale iluż ludzi PiS zagadał już na śmierć.

Świętego Pawła

Liczba pierwszych wejść na moje filmy na YouTubie przekroczyła 8 mln. Dziś wynosi 8024 tys. Kosztuje mnie to ok. 100 tys. rocznie. Jestem wziętym aktorem pod warunkiem finansowania produkcji, czyli dopłacania do siebie. Metodę tę polecam wszelkim zgorzkniałym nieobsadzanym aktorkom i aktorom, np. Joannie Szczepkowskiej.

Świętej Pauli

Wkrótce stanie się bezsporne, że więzienie CIA w Polsce istniało, że zainstalowane było bezprawnie i że wbrew polskiej konstytucji torturowano w nim przywożonych w tym celu więźniów. Rządzący wtedy Polską premier Leszek Miller wpierw mówił, że takiego więzienia nie było, potem, że nic o nim nie wiedział. Wkrótce zmieni zdanie i oświadczy, iż nie miał pojęcia o tym, że Amerykanie stosują w nim tortury. Przypuszczał, że CIA wyremontowała i przystosowała budynek, poczem zwoziła tam więźniów, aby odetchnęli świeżym powietrzem Mazur i nacieszyli się krajobrazem. Żaglówki i panienki stały do dyspozycji.

Świętej Angeli

Nagonka na dziennikarzy prasy PiS zwącej się niezależną mnie nie obejmuje. To znaczy nie należę do „resortowych dzieci", a odgrywam inną rolę. O mnie te dzieci ociera się, żeby je zabrudzić. Np. „Monika Olejnik była uprzywilejowaną dziennikarką na konferencjach prasowych rzecznika komunistycznego rządu Jerzego Urbana". Bo, jak pisze ówczesny dziennikarz TVP Tadeusz Zakrzewski, „miała przywilej zadawania pytań". A „Gazeta Wyborcza" – cieszy się „Gazeta Polska" – napisała, że dziennikarkę radiową opieprzono w redakcji za zadawanie nieuzgodnionych pytań. Otóż dziennikarkę mogła redakcja opieprzyć za jakieś pytanie, ale to z zasadami rządzącymi moimi konferencjami nie miało nic wspólnego.

W konferencjach uczestniczyli dziennikarze akredytowani. Wszyscy zagraniczni, około 100 osób, i wysłannicy najważniejszych polskich środków przekazu – około 50 osób. Tyle mieściła sala. Wszyscy mogli zadawać pytania. Konferencje trwały do wyczerpania pytań, a ich stenogram drukowała „Rzeczpospolita". Część transmitowało radio na żywo. Autoryzowałem skrót dla TVP.

Mniemania, że pytania Polaków są reżyserowane, wynikają z mojej opowieści, że niektórych polskich dziennikarzy prosiłem o zadanie określonego pytania. Wynikało to z dwóch powodów. Np. plotka głosiła, że kogoś przejechał milicjant, a to nie był milicjant. Rzecznik rządu sam z siebie nie mógł tego ogłaszać, zajmując się plotkami. Mógł pogłoskę sprostować, gdy był o to pytany. Drugi powód był taki, że ministerstwa, w tym MSW, dawały mi informacje, zastrzegając, że mogę je ogłosić, gdy będę o to coś pytany. Często zaś chciałem ogłosić, żeby konferencja była ciekawsza.

Wreszcie, na co skarżyła się Olejnik, po konferencjach zbierałem polskich uczestników, żeby mówić, co było ważne, co nie jest ważne itp. Były to sugestie rządu, ale nie dyrektywy, bo ja nie zawiadamiałem naczelnych redaktorów, o co prosiłem ich dziennikarzy. Skoro Olejnik z III Programu PR jest brudzona uczestnictwem w konferencjach Urbana, to czemuż, zdaniem PiS, resortowymi dziećmi nie stali się zachodni bywalcy tych konferencji, w tym Amerykanie?

Świętego Tomasza

Przeczytałem znakomicie udokumentowaną i mądrze zrównoważoną książkę Marcina Zaremby „Czas trwogi" o latach tużpowojennych w Polsce. Dowiedziałem się z niej, że to, co ja pamiętam z tamtych czasów, jest rzeczywistością moją, a nie powszechną. Np. panował głód w latach, które ja pamiętam jako czas wystawnych bankietów, knajp, tańców, czyli kompensowania sobie okupacyjnych smutków i niedostatków. My, czytelnicy, odruchowo traktujemy różne dzienniki i wspomnienia jako obraz rzeczywistości, podczas gdy mówią one wyłącznie o jednostkowym postrzeganiu zjawisk. Własnym oczom nigdy nie należy wierzyć. Widzą pojedyncze puzzle, których tysiące trzeba ułożyć, żeby uzyskać jakiś obraz.

Świętego Gildasa

Zaremba podaje, że po wojnie mocna była wiara plebsu w to, iż Żydzi porywają dzieci i zabijają na macę. Stanowiła ona ważne podłoże pogromów mających wiele różnych przyczyn. Wśród nich jest też tragikomiczny. Komitet żydowski (CKŻP) wypłacał po tysiąc złotych zapomogi rodzinom, które przechowywały żydowskie dzieci i je teraz oddawały. Stało się to powodem porwań polskich dzieci i oddawania ich komitetom żydowskim od ręki wypłacającym pieniądze. Prowadzenie dzieci do instytucji żydowskich obserwatorzy uznawali za oddawanie na macę. Tak więc komitet Żydów z braku wyobraźni napędzał pogromy. Jest to przestroga dla każdej władzy, że trzeba umieć przewidzieć uboczne skutki decyzji. Tusk wciąż zmaga się z kłopotami, które sam wywołał. Ja też.

Świętej Martyny

Azor, dziękuję, zdrowy, ale dość zdenerwowany. Jak sądzę, zimnem i sytuacją na Ukrainie. Gdy tylko nadciągają mrozy, Daniszewska każe ostrzyc naszych psa i sukę do gołej skóry. Mnie też psia fryzjerka wygoliła głowę i jaja.

Świętej Marceliny

Jestem rozpieszczony ciszą. Panuje ona u nas w Konstancinie, a i redakcja „NIE" jak wymarła. Męczy mnie gwar w knajpie, a za młodu były one domem mym. Nie bywam też na imprezach zbiorowych, nawet gdy mnie zapraszają. Np. Michnik dostał Kisiela i „Fakt" czy „Gazeta Polska" nie mogły go ubrudzić obecnością Urbana na widowni. He, he…

Chiński Nowy Rok

Wydałem w restauracji Dyspensa bankieciątko na osiem osób. Wszystkie się męczyły, bo nie wolno palić i parami wychodziły na mróz. Zakazując palenia, władza dba o nasze zdrowie, więc od palenia na mrozie przeziębiły się cztery osoby i jeszcze do tego mogą od palenia zapaść na raka płuc lub impotencję. Czyż nie zdrowiej zapadać w cieple?

Tenże Nowy Rok

Pasją Daniszewskiej jest chodzenie boso po śniegu. Stopy ma tak szczęśliwie odmrożone, że już nie czuje zimna. Poprzednim hobby było kupowanie butów.

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Za pośrednictwem mediów społecznościowych Daniel Obajtek** życzył wszystkim błogosławionej niedzieli. Widać leczenie zespołu Tourette'a nie zadziałało.
- **Andrzej Duda** z żoną założyli spółkę komandytową Andrzej Duda PAAD. Nazwa Andrzej Duda PADŁ przyda się na później.
- **Jarosław Kaczyński** powiedział, że Polskę stać na miliard dolarów wpisowego do Rady Pokoju. Pewnie, Nawrocki miałby gdzie stać na bramce.
- **Telewizja Republika** apeluje o wsparcie z powodu zmowy na rynku reklam. Rozważali Państwo reklamy WOŚP?
- **Radiomaryja.pl** apeluje, aby zapobiegać odmrożeniom uszu u dzieci. Jeśli dzieci nie będą miały uszu, to nie wiadomo, za co księża będą je ciągać.
- **Burmistrz Zakopanego** skrytykował influencerkę, która nagrała pornola na Krupówkach. Burmistrz winien jest wyjaśnienia, czy w filmie brał udział również miś.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Rządy dla obywateli

Gratuluję Annie Grodzkiej tekstu w „NIE", nr 3/2026, z podtytułem „Kto sponsoruje państwo polskie". (…) Przygotowała tekst, który powinien przeczytać każdy obywatel Polski. Niech zrozumie, że utrzymanie państwa leży na jego barkach. Członkowie rządu, sejmu i senatu – obowiązkowo. Można byłoby wtedy liczyć na to, że dbanie o dobrobyt obywateli stanie się ich celem. To rządy są dla obywateli, a nie obywatele dla rządów.

Krycha

Jankesi do domu!

Cała historia USA to jedna wielka przemoc, zbrodnie, wojny, wyzysk (…). Demokrację Amerykanie wykuwali pistoletem i tak jest do dzisiaj. (...) Nie lubię Ameryki już od dłuższego czasu. Amerykanie są zarozumiali i wywyższają się ponad inne narody. Nie potrafią obiektywnie spojrzeć na siebie i stwierdzić, że są chorym narodem. (…) Coś złego dzieje się dzisiaj ze światem, demokracją. Władzę zdobywają źli ludzie tacy jak Putin, Trump, Orbán, Nawrocki... Wybór Trumpa na prezydenta USA to wielka katastrofa dla świata i demokracji. Jego chore pomysły na stworzenie nowego światowego ładu to wielkie zagrożenie. Trump na czele Rady Pokoju to tak samo jak lis wyznaczony do pilnowania kurnika. I jeszcze każe sobie za to płacić, szuka durni na świecie.

Uważam, że my w Europie nie potrzebujemy już Ameryki, szczególnie takiej, jaką jest obecnie. Mamy UE, (...) wspólny rynek bez granic. Po co nam amerykańskie wojska w Europie? To my jesteśmy największą potęgą obok Chin. USA to bankrut, kolos na glinianych nogach. Pieprzyć Amerykanów, niech spadają na drzewo.

Waldemar Szydłowski, Gdańsk

eprasa.pl 132b4b8a81

Groźniejszy niż Braun

„NIE” rozmawia z Leszkiem Millerem

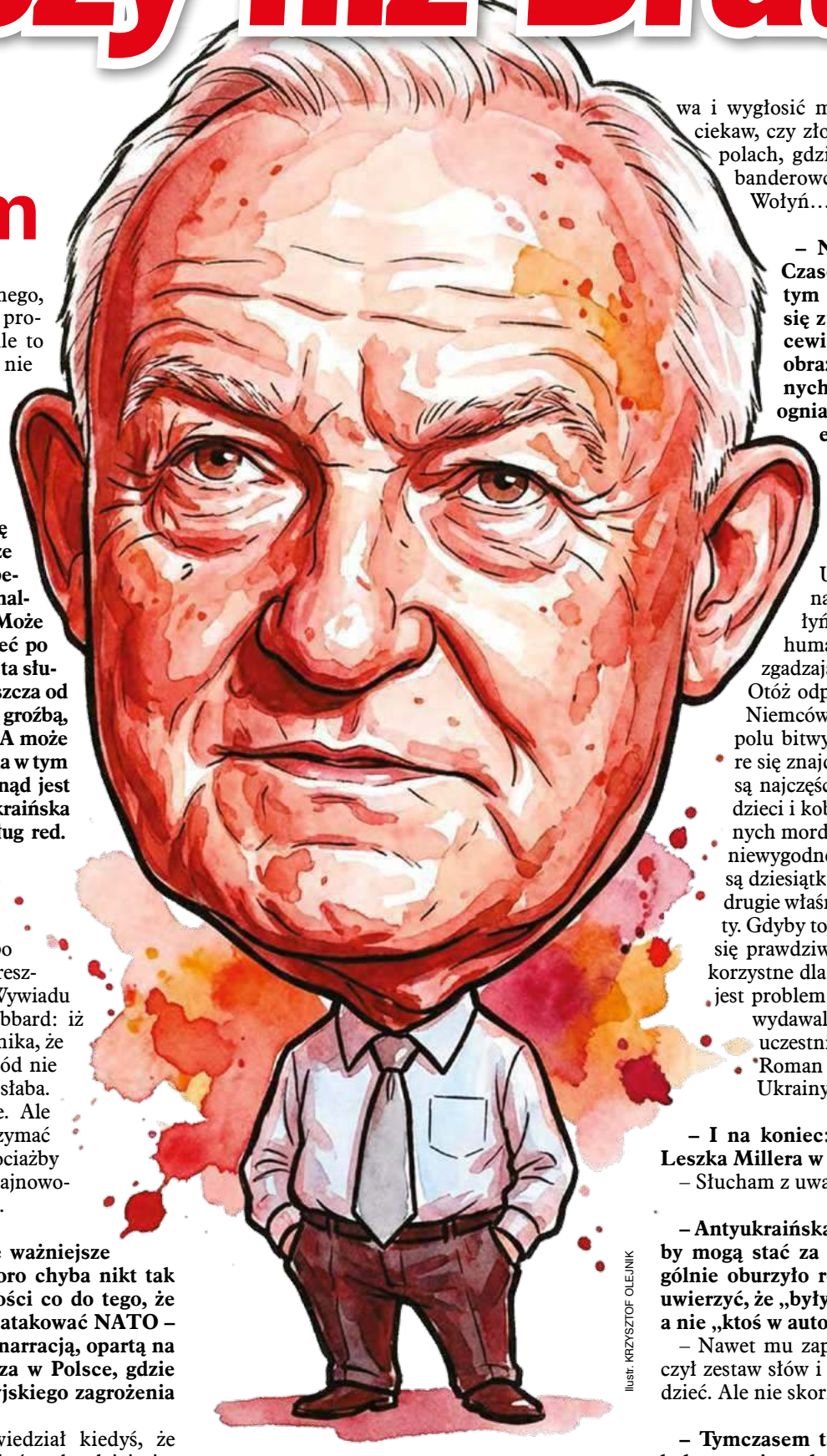

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Na początek, tytułem wyjaśnienia: w OKO.press ukazało się opus magnum red. Piotra Pacewicza zatytułowane „13 antyukraińskich tez Leszka Millera. Kreml go wychwala, a wy po co go zapraszacie?”. Potraktowałam to jako wyzwanie: jak to, inni zapraszają antyukraińskiego Millera, a my nie? Red. Pacewicz, w typowym dla środowiska „GW” zatroskaniu o nierozgarniętych obywateli, którym nie wolno mieszać w głowach, wywodzi, „dlaczego Miller jest groźniejszy niż Braun”: bo dziennikarze „z szacunkiem słuchają jego słów, tytułując go »panem premierem«”. A zatem: panie premierze, dlaczego jest pan onucą gorszą od Brauna?

– Wolę być ruską onucą niż banderowskim pampersem. A serio: my z panem Pacewiczem mamy porachunki od 2001 roku, kiedy on napisał artykuł pod tytułem bodaj „Zatrzymać SLD”. Wywodził w nim, że lewica wygra przytłaczająco, zdobędzie wszystko, nic dla biednych solidaruchów nie zostanie, toteż konieczne jest zjednoczenie sił, żeby tych wstrętnych komuchów zatrzymać. Jak pamiętamy, to się nie udało, i od tego czasu p. Pacewicz pilnie wygląda każdej okazji, żeby wbić jakiś gwóźdź w lewicę i we mnie osobiście. To jednak mniej istotne. Ważniejsze jest zjawisko, które znakomicie ilustruje ten przywoływany przez ciebie artykuł. To – żeby użyć określenia z niedawnej publikacji Łukasza Warzechy – proukraińska patologia, która zżera Polskę. Każda najmniejsza krytyka pod adresem Ukrainy i jej przywódców gwarantuje krytykującemu łatkę ruskiego agenta. Zdaniem Warzechy – z którym się zgadzam – to już nie jest wsparcie dla Ukrainy; to wpływ Służby Bezpieczeństwa Ukrainy na polski dyskurs publiczny. Bardzo się cieszę, że są dziennikarze – nie wyłączając także was – którzy nie poddają się tej presji.

– Większość się jednak poddaje…

– Przekonuję się o tym na własnej skórze. Kilka tygodni temu Paweł Kowal wylał tradycyjną porcję kalumnii pod moim adresem w TVP. Zadzwoniłem do prowadzącej audycję pani red. Doroty Schnepf z prośbą o udział w tym programie, aby się do zarzutów ustosunkować. Schnepf powiedziała, że musi to omówić na kolegium, następnie poinformowała mnie, że kolegium nie widzi takiej potrzeby. Zadzwoniłem do Sławka Zielińskiego z prośbą o interwencję. Zieliński powiedział, że próbował, ale nic nie wskórał. Po raz kolejny mogłem się przekonać, że piąta kolumna banderowska jest silniejsza, niż się przypuszcza. Z głównych przekaziorów zniknęło wszystko, co może być zakwalifikowane jako antyukraińskie. I tak banderowcy budują konia trojańskiego na oczach zobojętniałych rodaków. Ja przecież wiem, że nie wszyscy Ukraińcy są banderowcami – i właśnie dlatego współczuję Ukraińcom, że tam zwyciężył ten blok polityczny, który ze zbrodniczego nacjonalizmu czyni ideologię państwową.

– Zwyciężył w wyborach? Czy może jednak ktoś mu to zwycięstwo załatwił? Są tacy amerykańscy badacze – John Mearsheimer, Jeffrey Sachs – w Polsce starannie pomijani z troski o niemieszanie w głowach biednym Polakom, którzy mówią wprost, że Majdan 2014 była to amerykańska operacja *regime change*…

– Co to tego nie ma już chyba wątpliwości – po tym, jak wypłynęło nagranie rozmowy ówczesnej podsekretarz stanu Victorii Nulad, która była w Kijowie i osobiście kierowała tą operacją, planując skład nowego rządu…

– A swój wywód podsumowała wdzięcznie: „I pierdolić UE”. Co zresztą jest dziś oficjalną polityką Stanów Zjednoczonych – żeby się o tym przekonać, nie trzeba podsłuchów, prezydent i wiceprezydent USA mówią to otwarcie.

– Ja na to wszystko patrzę z wielką przykrością, bo przecież kocham Europę, kocham Unię Europejską, napracowałem się, żeby Polskę do tej struktury wprowadzić. Niestety, to europejskie kierownictwo, które się parę lat temu wyłoniło, po prostu nie dorasta do rangi problemów. Europa słabnie, dystans do Stanów Zjednoczonych – jeżeli chodzi o gospodarkę, nowoczesne technologie, sztuczną inteligencję – rośnie; między innymi dlatego, że pani von der Leyen woli być szefową sztabu wojennego, niż zajmować się realnymi problemami Europejczyków. Ale to sprawia też, że – niestety – nie mamy alternatywy: niezależnie od tego, jaki jest prezydent Stanów Zjednoczonych, trzeba trzymać sztamę z Waszyngtonem.

– A ja akurat widzę w Trumpie nadzieję. Zawsze mówiłam, że USA to imperium zła, a teraz – dzięki Donaldowi – wszyscy to widzą. Może to okazja, żeby zacząć myśleć po nowemu? Na przykład: cała ta służalczość wobec USA – zwłaszcza od 2022 roku – jest uzasadniana groźbą, że przyjdzie Ruski i nas zje. A może Ruski nie przyjdzie, bo nie ma w tym żadnego interesu? To skądinąd jest ostatnia, trzynasta „anyukraińska teza Leszka Milllera”, według red. Pacewicza: „Rosja nie jest groźna, a Putin jest racjonalny”.

– Opowieści o tym że Rosja nam zagraża, to są po prostu baśnie. Niedawno zresztą mówiła o tym szefowa Wywiadu Narodowego USA Tulsi Gabbard: iż z amerykańskich danych wynika, że żadnej agresji Rosji na Zachód nie będzie, bo Rosja jest na to za słaba. Militarnie i technologicznie. Ale żeby tak było, musimy się trzymać Stanów Zjednoczonych – chociażby po to, żeby mieć kontakt z najnowocześniejszymi technologiami.

– Polemizowałabym. Ale ważniejsze wydaje mi się pytanie: skoro chyba nikt tak naprawdę nie ma wątpliwości co do tego, że Rosja jest za słaba, żeby zaatakować NATO – co tak naprawdę stoi za tą narracją, opartą na straszeniu Rosją? Zwłaszcza w Polsce, gdzie samo kwestionowanie rosyjskiego zagrożenia jest uznawane za zdradę?

– Roman Dmowski powiedział kiedyś, że w Polsce nie brakuje ludzi, którzy bardziej nienawidzą Rosji, niż kochają Polskę. I ta wciąż aktualna myśl zdaje się przyświecać oficjalnej polityce władz RP. Można odnieść wrażenie, że polski rząd ściga się z innymi – zwłaszcza brytyjskim – w nienawiści do Rosji i straszeniu własnych obywateli tym, że za chwilę pojawią się tu ruskie hordy. Mnie to zresztą śmieszy, jak słyszę, że ruskie czołgi staną na polskiej granicy – bo przecież od dawna stoją w obwodzie kaliningradzkim. I to jest bardzo bezpieczna granica, bez żadnych incydentów. Trudno, nie wszyscy znają geografię. Generalnie: jest takie przekonanie, że tego typu narracja przysparza wyborców, bo się pokazuje dumną władzę, która się nie boi Putina…

– No właśnie – pytam byłego premiera – czy to ze strony obecnego premiera i jego gabinetu raczej gra propagandowa, czy szczera nienawiść?

– Ja myślę, że

to nie jest aż taka prawdziwa nienawiść; przecież pamiętam, jak Tusk jechał do Moskwy na spotkanie z Putinem, był przyjmowany na Kremlu, a obecny wicepremier Radosław Sikorski organizował naradę ambasadorów w Warszawie z udziałem Ławrowa.

Ponieważ wtedy w stosunkach amerykańsko-rosyjskich zaistniał reset – to ten reset obowiązywał również w stosunkach polsko-rosyjskich. Nawiasem mówiąc, teraz też zauważam pewne symptomy, że Zachód chciałby wrócić do takich w miarę normalnych kontaktów z Rosją.

– Oczarowanie Ukrainą chyba nieco Zachodowi przechodzi.

– Trzy tygodnie temu opiniotwórczy holenderski dziennik „De Telegraaf” opublikował duży artykuł pod tytułem brzmiącym mniej więcej tak: „Ukraina, korupcja, neonazistowska symbolika i zbrodnie wojenne”. To opowieść holenderskiego najemnika, który 3,5 roku walczył na Ukrainie, między innymi w Trzeciej Samodzielnej Brygadzie Szturmowej, wyrosłej z niesławnego Pułku Azow – i napatrzył się na obraz zgoła inny od proukraińskiej propagandy. To jest bardzo poważny mainstreamowy dziennik, który publikuje tekst niepasujący do dotychczas dominującej na Zachodzie narracji i zwraca uwagę na obecność symboliki nazistowskiej i środowisk skrajnie nacjonalistycznych na Ukrainie. To jeszcze nie jest teza o nazistowskim państwie – ale o obecności nazizmu. Była premier Tymoszenko, oskarżona właśnie o korupcję, idzie krok dalej i nazywa władze w Kijowie „faszystowskim reżimem”. Coś zaczyna pękać w tym jednolitym froncie, a i w Polsce jest coraz więcej dziennikarzy, którzy myślą samodzielnie i wyłamują się z tej instrukcji zachowania ciszy i niemówienia niczego złego o banderowskiej Ukrainie.

– To, co mnie smuci – to fakt, że coraz więcej takich wyłamujących się można znaleźć na prawicy, zwłaszcza oszołomskiej. Na lewicy – ni cholery.

– Lewica jest totalnie zglajchszaltowana i pozostaje w nurcie całkowitego potępienia Rosjan, bo to należy do dobrego tonu. Słyszymy, że pan Czarzasty ma zamiar wybrać się do Kijowa i wygłosić mowę w parlamencie. Jestem ciekaw, czy złoży wieńce gdzieś na pustych polach, gdzie były wsie wyrżnięte przez banderowców, czy pojedzie gdzieś na Wołyń…

– Nie za dużo tego Wołynia? Czasem mam wrażenie – i pod tym względem trochę zgadzam się z naszym ulubionym red. Pacewiczem – że te twoje bardzo obrazowe opisy dzieci nabijanych na widły i wrzucanych do ognia służą bardziej pobudzaniu emocji, niż tłumaczeniu zawiłej historii.

– W jakimś sensie tak. Uważam, że tego nie można ukrywać. Zresztą tu leży odpowiedź na pytanie, dlaczego Ukraińcy nie chcą się zgodzić na ekshumacje ofiar rzezi wołyńskiej – podczas gdy na ekshumacje żołnierzy niemieckich zgadzają się bez żadnego problemu. Otóż odpowiedź jest taka, że szkielety Niemców noszą znamiona śmierci na polu bitwy. Natomiast te szkielety, które się znajduje w tych dołach śmierci, to są najczęściej szczątki zmasakrowanych dzieci i kobiet, ze śladami bardzo brutalnych mordów. I to co dla Ukraińców jest niewygodne to, po pierwsze, skala: tam są dziesiątki tysięcy tych szczątków. A po drugie właśnie fakt, że są to dzieci i kobiety. Gdyby to świat zobaczył, gdyby zaczęły się prawdziwe ekshumacje, to nie byłoby korzystne dla wizerunku Ukrainy. I jeszcze jest problem ideologiczny: otóż ci, którzy wydawali rozkazy albo czasami wręcz uczestniczyli w tych mordach, jak np. Roman Szuchewycz, są bohaterami Ukrainy, stoją na pomnikach…

– I na koniec: najważniejszy z grzechów Leszka Millera w ujęciu Pacewicza.

– Słucham z uwagą.

– Antyukraińska teza nr 1: „Ukraińskie służby mogą stać za zamachami”. To też szczególnie oburzyło red. Kraśkę, który nie mógł uwierzyć, że „były premier Rzeczypospolitej”, a nie „ktoś w autobusie” mówi takie rzeczy.

– Nawet mu zaproponowałem, żeby mi wręczył zestaw słów i zdań, które mi wolno powiedzieć. Ale nie skorzystał.

– Tymczasem takie rzeczy mówi nie tylko były premier, ale także były prezydent. I ja myślę że Andrzej Duda w swojej rozbrajającej prostocie powiedział w rozmowie z red. Rymanowskim prawdę: że kiedy Zełenski usiłował mu wmówić, że dwóch Polaków w Przewodowie zabiła rosyjska rakieta, robił to, bo chciał wciągnąć Polskę – i szerzej NATO – do wojny.

– Oczywiście, że Duda powiedział prawdę. Nie wiem, czy specjalnie, czy mu się wymknęło – ale jest to bardzo logiczne z punktu widzenia Zełenskiego. Takie sytuacje, w których on może mieć nadzieję, że ktoś w NATO się wreszcie zdenerwuje i powie: „Dość, ruszamy na Moskwę” – są to dla niego sytuacje wymarzone. Zresztą w sprawie Przewodowa nic się nie zmieniło: śledztwo w dalszym ciągu jest zablokowane przez prokuraturę ukraińską, żadnego „przepraszam” nie usłyszeliśmy – a już szczytem jest pomnik, który tam umieszczono, z napisem: „Tablica upamiętniająca tragiczne wydarzenie z 15 listopada 2022 roku”.

– I cytat z Szymborskiej.

– Dokładnie. To jest przykład „dyplomacji pamięci” nowego gatunku, w którym prawda historyczna ustępuje miejsca konsultacjom z ambasadą. W sprawie ekshumacji wołyńskich też jest taki pomysł – i zdaje się, że nasze Ministerstwo Kultury się na to zgodziło – że mają tam być tabliczki co najwyżej z nazwiskami ofiar. To tak, jakby w Katyniu napisano: „Tutaj zginęło 5000 Polaków, część ich pamięci”. Ja o tym mówię, niezależnie od tego, jakie gówno mnie potem oblepia, także dlatego, że ja byłem aktywnym politykiem w PRL. I na zamkniętych naradach, kiedy pojawiał się temat Katynia – a pojawiał się często – ciągle słyszeliśmy: nie, towarzysze, to jest nie dobry czas, żeby o tym mówić. I przyznam się, że było mi wtedy wstyd: że siedzę w tym kręgu i nic nie robię. I wtedy sobie pomyślałem, że jeżeli kiedyś w przyszłości będę w podobnej sytuacji – to już nie będę milczał. No i nie milczę.

Rozmawiała **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA**

eprasa.pl 132b4b8a81

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Psychotest: W miejsca wygwiazdkowane wstaw podane niżej w kolejności alfabetycznej słowa uznawane za nieprzyzwoite.

Mam na imię Marta, nazywam się ********** i jestem ministrą, ***** jego mać, kultury. Nie ma co ********* bez sensu, do ***** pana marcepana, tylko przesunąć wybory. Właściwie na **** nam teraz w **** ****** wybory, do *****? Tę ********** trzeba przeczekać albo w ogóle **********, jak to mówią, na koniuszek ******. Tak jak nas uczył Szymon ********. W *****, bo jak inaczej to nazwać? **** w **** Stefce, jak się ***** nie chce! Wszyscy wszystkim skaczą do gardła, każdy każdemu życzy ***** w ****** **** i kawałek szkła. A na ***** to *****, co? Żeby ********** media miały używanie na pół basa i całego ******. Te w **** ******, ****** umazane portale wieszają psy na Szymonie, na Kaśce, na Paulinie, no, ***** jego mać! Proszę, skończmy te **********, myślmy głową, a nie główką na czubku ***** w **** ********. Do widzenia, ***** w ***** nie zamieniaj.

chuj (2 razy)
chuja (4 razy)
chujowiznę
Cienkowska
dupę (5 razy)
gównem
gówno (2 razy)
Hołownia
jebać
jebaną
jebane (2 razy)
jebanego
kutasa (2 razy)
kurwa (2 razy)
kurwę
kurwy
napierdalanki
pierdolić
pierdolone
pizdu
wypierdolić

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Rzecz o zepsuciu klasy politycznej

ETYKA BEZBOŻNA

Ministra chamówy

Ja rozumiem, ja wszystko rozumiem. Gdyby jaki wąsaty minister od żywca i nierogacizny bluznął. Gdyby minister od grzmiących harmat miechem rzucił. Ale pani od kultury? No żesz kurwa! Nawet profesorowi nie wypada, a co dopiero ministrze kultury i dziedzictwa narodowego. Co by na to powiedział taki Paderewski?

W ramach spiskowania przeciwko koleżankom partyjnym na supertajnej (jak widać) grupie wiernych pretorianów Szymona Hołowni, na tak zwanym jednym z popularnych komunikatorów ministra Marta Cienkowska zamerdała zamaszyście ogonkiem przed swoim patronem i w poetycznym uniesieniu wypuściła w eter te pamiętne słowa: „Na razie nie ma co pierdolić bez sensu, trzeba przesunąć wybory. (…) Jebać przychylne media. Jak zmienimy zarząd i się weźmiemy do roboty, to wszyscy zapomną o tej napierdalance i planowanym przez nas przewrocie. Czy jak to ci pseudo dziennikarze to zaraz nazwą”. W mordę – ja jebałem PiS, ale kto widział, żeby robić to „przychylnym mediom”? Czy TVN ma się czuć zagrożony? A nasz tygodnik? Czy mamy już zaciskać uda, pani minister?

Jako pseudodziennikarz i pseudoprofesor nie mogę nie podzielić się z pseudoczytelniczkami i pseudoczytelnikami kilkoma refleksjami na okoliczność tego dowodu całkowitego upadku obyczajów i zaniku wszelkiego honoru. Gdyby pani Cienkowska miała odrobinę osobistej kultury, to nie pisałaby do kolegów ani tego, co napisała, ani w tak wulgarny sposób. A gdyby miała odrobinę poczucia honoru, to podałaby się do dymisji zaraz po ujawnieniu kompromitującej ją korespondencji. Ale nie ma, więc się do dymisji nie podała i czeka, biedaczka, czy i kiedy ją Tusk z rządu wyrzuci. I ma nadzieję, że nie wyrzuci, bo to przecież taki nieważny resort, ta cała kultura, a o bluzgach wszyscy zapomną. Na razie się odgryza, że ma „bogaty wokabularz”. Skoro ma taki bogaty, to czemu nie napisała chociażby „chędożyć”? „Jebać” i „napierdalanka” kojarzą się raczej z ubóstwem słownika. Zresztą niech zapyta profesora Bralczyka.

Otóż nie, to nie żarty. Dymisja jest niezbędna i jestem przekonany, że wkrótce nastąpi. Dni ministry Cienkowskiej na Krakowskim Przedmieściu są policzone. Nie chodzi bowiem tylko o chamskie bluzgi, które są po prostu oburzające w ustach ministra tego akurat resortu, lecz o to, że pani Cienkowska uczestniczyła w kombinacjach służących torpedowaniu demokratycznych wyborów partyjnych. W demokratycznym rządzie nie może być miejsca dla cwaniaków manipulujących demokratycznymi procedurami. A knajacki język to już tylko gwóźdź do tej trumny.

Ale to nie Cienkowska jest problemem. Problemem jest beznadziejna słabość polskiej (i nie tylko polskiej) klasy politycznej w coraz większym stopniu składającej się z całkowicie przypadkowych osób, które akurat zapisały się do jakiejś partii, a ta partia akurat weszła do parlamentu. Takich Cienkowskich płci obojga są całe tłumy. A ta Cienkowska, czyli pani Marta, ma taki sam tytuł do tego, żeby sprawować swoją funkcję, jak dowolny kierownik dowolnej średniej wielkości placówki kulturalnej. Ma zupełnie mierne doświadczenie zawodowe i niczym niewyróżniający się dorobek, a jedyny powód, że teraz rządzi pieniędzmi na kulturę, jest taki, że kilka lat temu wpadło jej do głowy, żeby „zapisać się do Hołowni”. Ale nie. Jest jeszcze jeden powód: premierowi jest najwyraźniej wszystko jedno, kto rządzi takim michałkiem jak kultura. Może sobie tam być jakaś nikomu nieznana pani Cienkowska. Bo co to ma za znaczenie?

I właśnie ta wzgarda dla całego resortu kultury, ta nonszalancja polityka, który „ma ważniejsze sprawy na głowie”, smuci mnie szczególnie. Bo zepsucie klasy politycznej właśnie od takiej nonszalancji się zaczyna. Na jednym krańcu jest wulgarność wpisana w samą istotę życia partyjnego i ten chamski, wszystkossący odkurzacz, który wciąga wszelkie śmiecie, gdy tylko ktoś ogłosi powołanie nowej partii politycznej. Na drugim zaś wielkopańska dobrotliwość „mężów stanu”, pozwalających na to, by drobniejsi współpracownicy mieli w wyznaczonym sobie zakresie autonomię. Niech się młodzi uczą! Tu pospolitość i chamstwo, tam znów arogancki paternalizm. A my musimy patrzeć, jak majestat państwa poniewierany jest jak jakiś łach w ciuchlandzie.

Idzie byle kto, jak po swoje, włazi do jakiegoś szacownego gmachu jak do siebie i bawi się przez rok czy dwa zabawkami, które wcale nie służą do zabawy młodych ludzi „próbujących swych sił w polityce”.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Znam to, wiem to, powinienem być przyzwyczajony, ale mimo wszystko za każdym razem, gdy widzę niewłaściwego człowieka na niewłaściwym miejscu, czuję się upokorzony.

JAN HARTMAN

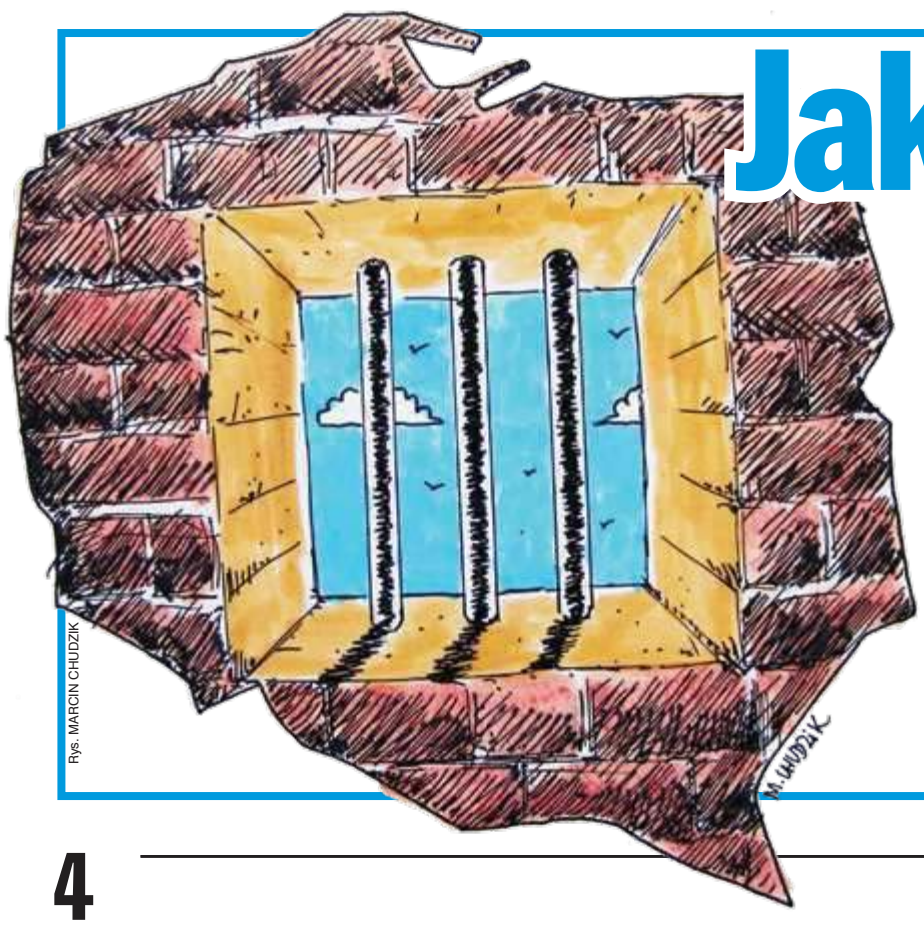

Rys. MARCIN CHUDZIK

Jak zostać pachanem

Kto kogo może bezkarnie obrażać

Pan Adam Borowski został przez sąd uznany winnym zniesławienia Romana Giertycha. Chodziło o słowa, które Borowski wypowiedział na antenie Telewizji Republika. Stwierdził tam, że polityk Giertych jest mecenasem, który „współpracuje z przestępcami”.

Giertych uznał to za obrazę i pozwał Borowskiego. Sąd nakazał mu przeprosić Giertycha. Treść swych przeprosin Borowski zaakceptował. W zamian sąd dalsze postępowanie umorzył. Ale potem Borowski olał sądowe orzeczenie i nie przeprosił. Za to sąd dodatkowo skazał Borowskiego na pół roku więzienia w zawieszeniu na rok i ponownie nakazał mu Giertycha przeprosić. W przeciwnym razie sąd zagroził, że wyrok mu odwiesi i Borowski naprawdę pójdzie na pół roku do więzienia. Ale Borowski głosił, że Giertycha nie przeprosi.

„Więzienie za poglądy? To nie historia, to rzeczywistość w Polsce w 2026 roku. Adam Borowski – zasłużony działacz opozycji antykomunistycznej, społecznik – ma trafić do więzienia! To wyraźny powrót do praktyk rodem z czasów Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej” – tak skomentował wyrok sądu prezes Jarosław Kaczyński.

„Uważamy, że miał prawo do wyrażenia opinii. Zwracamy się do ministra sprawiedliwości, by przyjrzał się sprawie Adama Borowskiego. Jednocześnie przypominamy, że art. 212 Kodeksu karnego pozwalający skazać kogokolwiek na karę pozbawienia wolności za publiczne wyrażanie swojej opinii co do osób publicznych budzi od lat spore wątpliwości. Naszym zdaniem ten artykuł powinien zostać usunięty z KK” – tak napisało 25 byłych działaczy opozycji solidarnościowej. Wśród podpisanych wiele jest osób o nazwiskach znanych, a także uznanych za zasłużone. Wielu z nich jest zdeklarowanymi zwolennikami KO, a wielu popiera PiS. Pierwszy

eprasa.pl 132b4b8a81

Czy wielka wojna już za progiem?

Strachy na Lachy

Na łamach „NIE” na przełomie grudnia i stycznia toczyła się ciekawa dyskusja o tym, czy światu zagraża nowa wojna powszechna oraz czy Polsce grozi najazd Rosji podobny do tego, który spotkał Ukrainę.

Agnieszka Wołk-Łaniewska wyklucza napaść Rosji na Polskę, argumentując, że Rosja już na Ukrainie wykazała słabość militarną, wobec której jej atak na kraj NATO byłby nie do pomyślenia. Przekonuje też, że – w odróżnieniu od roku 1914 czy 1939 – wojny powszechnej na dostrzegalnym horyzoncie nie widać, nie ma bowiem w stosunkach międzynarodowych sprzeczności, która do takiej wojny prowadziłaby.

Z kolei Anna Grodzka utrzymuje, że w odróżnieniu od XX w. – kiedy wojny światowe wszczynały rosnące imperia – teraz potencjalnymi drapieżcami mogą okazać się imperia upadające, podpalające świat i siebie z desperacji, w próbie „utrzymania się na powierzchni”. Takim drapieżcą według Grodzkiej mogą okazać się raczej Stany Zjednoczone niż Rosja. Z kolei wojnę polsko-rosyjską w sprzyjającej sytuacji mogą – pisze Grodzka – wywołać ewentualnie rządzący w Polsce nacjonalistyczni populiści, na przykład atakiem na niegdyś „nasz” Królewiec.

Wahałem się, czy warto wtrącać się do tej dyskusji. Ale po przeczytaniu – w artykule zatytułowanym złowieszczo „Wojna się zbliża!” – że nasz premier Donald Tusk twierdzi, iż żyjemy w czasach „przedwojennych”, a amerykański generał możliwość konfliktu światowego z Rosją widzi nawet już w 2027 r., zdecydowałem się przedstawić swój pogląd w tej materii.

Deficyt zadufania

Otóż ogólnie rzecz biorąc, bliższe mi są konkluzje Wołk-Łaniewskiej. Dla wojny powszechnej nie dostrzegam w sytuacji globalnej powodu porównywalnego z tym, jaki obserwowaliśmy w 1914 i 1939 r. Wówczas najpierw cesarstwo niemieckie – czujące się skrzywdzone podziałem świata (kolonii, ale nie tylko) – zorganizowało blok podobnych państw „głodnych” i wydało „sytym” wojnę, którą przegrało sromotnie. Konflikt austro-serbski po zamachu na arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie był tylko pretekstem. W dwie dekady później to samo państwo po odbudowaniu sił ruszyło do rewanżu i odwrócenia sytuacji na swoją korzyść. Napaść Hitlera na Polskę była tylko wstępnym przygotowaniem pola dla tego rewanżu.

W obu wojnach światowych wszczynające je mocarstwo było militarnie potężne i zadufane w swej sile. Zwłaszcza w 1939 r. Niemcy hitlerowskie, wykorzystując potęgę swej gospodarki i talenty swego narodu, zbudowały niespotykanej siły machinę wojenną, potężniejszą od napoleońskiej sprzed wieku, zdolną – jak się okazało – pokonać na lądzie każde inne mocarstwo, a nawet sojusz dwu mocarstw. Dopiero mobilizacja całego pozostałego świata i alians trzech mocarstw, w tym najludniejszej Rosji i najbogatszej Ameryki, dał im radę i zadał druzgocącą tym razem klęskę.

Nic podobnego w dzisiejszej sytuacji nie widać.

Dzisiejsza Rosja, która w oczach wielu uchodzi za główne wojenne zagrożenie, nie przypomina Niemiec z tych poprzednich wojen: ani siłą gospodarki, ani bitnością wojsk, ani jakością uzbrojenia, ani też nacjonalistyczną mobilizacją ludności.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W 1914 r. ludność niemiecka żegnała wyjeżdżające na front oddziały kwiatami i śpiewem, z entuzjazmem i wiarą w rychłe zwycięstwo. Może nie tak wylewnie, ale też zdecydowanie, akceptowała wojnę światową w latach 1939–1943, aż do dramatycznie przegranej bitwy stalingradzkiej. W porównaniu z tym nastroje w dzisiejszej Rosji, chociaż w większości proputinowskie, wyglądają smętnie.

Niemieccy żołnierze w początkowych latach obu wojen światowych szli w bój jak na nabożeństwo – dzisiejsi Rosjanie bardziej niż Niemców przypominają Austriaków czy Włochów z tamtych wojen. Żeby wyobrażać sobie, że takie wojsko, tak uzbrojone, niezdolne w ciągu czterech lat pokonać słabiutkiej Ukrainy, mogłoby zagrozić NATO, trzeba wierzyć w cuda.

Putin byłby samobójcą, gdyby zdecydował się NATO zaatakować. Nawet biorąc pod uwagę wewnętrzne kłopoty osłabiające dziś sojusz – różnice w sile gospodarczej i militarnej są zbyt oczywiste.

Uraz pacyfistyczny

Na nieszczęście dla Ukrainy, a z korzyścią dla współczesnego świata, również Stany Zjednoczone jak dotychczas zdecydowanie unikają starcia z Rosją. I to zarówno administracja Bidena, jak Trumpa.

Ta pierwsza sprzyjała wojnie rosyjsko-ukraińskiej, obiecując Ukrainie członkostwo w NATO, dostawy broni itp. Podobnie zresztą jak większość europejskich państw Sojuszu Północnoatlantyckiego. Donald Trump drastycznie zmienił amerykańską politykę w sprawie Ukrainy, zamierzył wygasić tam wojnę, wstrzymać – jak mówi – zabijanie. Ale też starannie unika ryzyka eskalacji. Mocniej naciska na słabszego Zełenskiego niż na silniejszego Putina.

Generalnie rzecz biorąc, świat Zachodu – nawet wspierając Ukrainę po rosyjskiej agresji – nie posuwał się w tym poparciu dalej niż znana mu dobrze strategia wojny „do ostatniego cudzego, ale ani jednego własnego żołnierza”. Tak wojny z Rosją, nawet kilka razy słabszą niż dawny ZSRR, wygrać się nie da. Ukrainie po czterech latach brakuje bowiem nie tyle broni, co właśnie żołnierzy. A tych Zachód dziś odmawia; obiecuje dopiero po zakończeniu wojny do pilnowania niezbyt sprawiedliwego pokoju.

Wstrzemięźliwość tę powoduje kilka czynników. Istotny jest brak chęci do wojowania ze strony własnej ludności; społeczeństwa europejskie są nastawione pacyfistycznie, mają w kościach jatkę II wojny światowej. W Stanach Zjednoczonych zaś społeczeństwo po doświadczeniu kilku wojen – koreańskiej, wietnamskiej, afgańskiej, irackiej – także nabrało urazu pacyfistycznego. Nawet demonstrację zbrojną w Wenezueli, wykonaną z niewątpliwym sukcesem i bez straty choćby jednego żołnierza, akceptuje tylko co trzeci Amerykanin. Nie dziw, że w tej sytuacji każdy prezydent USA wystrzega się w polityce zagranicznej wszystkiego, z czym wiązałyby się straty ludzkie, nie mówiąc już o wojnie nuklearnej. A o niej też nie wolno zapominać.

Jak na razie dla USA jest to czynnik rozstrzygający. John F. Kennedy po kryzysie kubańskim 1962 r. pozostawił swoim następcom przesłanie: „Nigdy w czasie konfliktu nie doprowadzać przeciwnika nuklearnego do desperacji, zawsze w porę konflikt z nim kończyć kompromisem”.

Mimo rozwoju broni antyrakietowej straszak nuklearny nadal działa; zwłaszcza w relacjach państw o potencjale nuklearnym nie tylko symbolicznym, takich jak USA i Rosja. Starcie tych mocarstw – gdyby nawet tylko co dziesiąte uderzenie było skuteczne – i tak spowoduje straty nieakceptowalne. Sytuacja mogłaby się zmienić, gdyby broń antyrakietowa była w stanie zapewnić stuprocentowe bezpieczeństwo. Ale na razie tak nie jest i nie wiadomo, czy to w ogóle jest osiągalne.

Spocząć we wspólnej mogile?

Niebezpieczeństwo nuklearnej wojny bez zwycięzców bagatelizują tylko słabi i desperaci, którzy na szczęście taką bronią nie dysponują. Pamiętam, że na początku wojny rosyjsko-ukraińskiej emerytowany wysoki dygnitarz estoński ubolewał nad obawami amerykańskimi przed nuklearną jej eskalacją. On się tego nie bał, lecz pragnął. Nienawidził Rosji tak mocno, że pogodziłby się z zagładą Tallina – stolicy i największego miasta Estonii – gdyby równocześnie zginęła Moskwa.

Przypomina się historia. Po kryzysie karaibskim 1962 r., przy okazji jakiegoś zjazdu w Rumunii, przedstawiciel ówczesnej Albanii Hysni Kapo krytykował obecnego tam Nikitę Chruszczowa za wycofanie z Kuby rakiet z obawy przed wojną nuklearną. Perorował, że naród albański wojny nuklearnej się nie boi, gotów nawet gromadnie na tej wojnie polec i „spocząć w jednej mogile z radzieckimi braćmi”. Nikt go nie poparł, patrzyli na niego jak na wariata, a sam Chruszczow zbył go pogardliwie, oświadczając, że wycofał te rakiety, gdyż wcale mu się nie uśmiecha wspólna mogiła z jakimś Kapo. Była to pouczająca konfrontacja realizmu z nieodpowiedzialnym fanatyzmem. Gomułka był w ówczesnych sporach po stronie Chruszczowa: uważał igranie z ryzykiem wojny nuklearnej za niedopuszczalne w jakichkolwiek wyobrażalnych warunkach. I chwała mu za to.

Grodzka obawia się przerastania małych lokalnych wojen w większą powszechną. Sądzi, że miało to miejsce w pierwsze fazie II wojny światowej. Niezupełnie tak. Wojny lokalne, często przykre i niebezpieczne, bardzo rzadko samoistnie przerastają w konflikty szersze i groźniejsze. Wojny lokalne wszczęte przez Hitlera w latach 1939–1941 przeciw Polsce, Danii i Norwegii, Jugosławii i Grecji były rozmyślnie zaplanowane jako oczyszczanie pola dla wojny zasadniczej przeciw Francji, Anglii oraz Rosji Radzieckiej. Dopiero ta ostatnia wciągnęła w swój wir Stany Zjednoczone i stała się światową. Nic nie spowodował przypadek, wszystko było rozmyślnie zaplanowane.

Rząd polski musiałby postradać te resztki rozumu, jakie mu pozostały, gdyby bez porozumienia z NATO sięgnął zbrojnie po Królewiec i wydał wojnę Rosji. Pozbyłby się zabezpieczenia z 5 art. NATO i pozostałby w tej wojnie samotnie. Nawet potężne Stany Zjednoczone podejmując atak na Irak, pozornie łatwy i bezpieczny, usiłowały skłonić do współudziału NATO, uciekając się do kłamstw o broni chemicznej. Gdy się nie udało, zorganizowały koalicję chętnych, aby nie wojować samotnie. Z tego wynika pewna przestroga również dla Polski: mianowicie przed nadmiarem gorliwości i wojowniczości. Jak mieszka się w przeludnionej Europie u boku niebezpiecznego drapieżnika, trzeba nie tylko zachować czujność, ale też rozwagę. Nie tylko zbroić się, ale dbać o sojusze. I nie wychodzić przed szereg.

• • •

Roman Dmowski w pracy „Polityka polska i odbudowanie państwa” przestrzegał przed tymi patriotami, którzy „nie umieli myśleć o Polsce, jeno o tem, jakby Moskalom zaszkodzić!”. Uważał ich za niewolników, tyle że zbuntowanych, ale wciąż „niezdolnych do tworzenia wolnej Polski”. Temu wielkiemu nacjonaliście obce było wszelkie awanturnictwo polityczne. Stawia się mu obecnie pomniki, ale zapomina się jego wskazań. Tych dobrych, bo miał też złe, szkodliwe!

ANDRZEJ WERBLAN

---

raz od wielu lat wszyscy oni podpisali się pod wspólnym oświadczeniem.

„Bardzo odważny człowiek, który zawsze stawał po stronie Polski” – powiedział o Borowskim prezydent Karol Nawrocki. I dodał, że rozważa jego ułaskawienie. Wspomniał też, że wie, kim jest Borowski. Powinien go pamiętać, bo w 2025 r. tenże Adam Borowski wszedł w skład komitetu popierającego kandydaturę Karola Nawrockiego na prezydenta RP.

26 sierpnia 2025 r. w programie „Debata Gozdyry” w telewizji Polsat News dziennikarz Witalij Mazurenko z portalu Obserwator Międzynarodowy, komentując weto prezydenta Nawrockiego do ustawy przedłużającej polską pomoc dla Ukrainy, rzekł: „Retoryka i zachowania pana Nawrockiego to nie są zachowania prezydenckie, tylko zachowania *pachana*”. Dopytywany przez prowadzącą program wyjaśnił, że *pachan* w rosyjskich więzieniach oznacza przywódcę grupy osadzonych. Prowadząca program redaktor Gozdyra uznała wypowiedź Mazurenki, obywatela polskiego pochodzenia ukraińskiego, za szkodliwą dla społeczności ukraińskiej. Rychło zawiadomienie o obrazie prezydenta Nawrockiego przez Mazurenkę złożył Paweł Kryszczak z Ruchu Obrony Granic. Liderem Ruchu jest Robert Bąkiewicz.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Teraz Mazurence grożą rygory art. 135 par. 2 kodeksu karnego. Więzienie bez zawieszania. Bo ten artykuł mówi: „Kto publicznie znieważa Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”. Jest bardziej rygorystyczny niż przywołany przez 25 solidarnościowych bojowników o prawo do wyrażania opinii co do osób publicznych art. 212 kodeksu karnego.

Słowa Mazurenki skrytykował publicznie rzecznik prasowy prezydenta Rafał Leśkiewicz. Po tym Witalij Mazurenko został wyrzucony z pracy w portalu Obserwator Międzynarodowy.

„Jednocześnie zapewniamy naszych czytelników, widzów i partnerów, że tego rodzaju zachowania nie będą w żaden sposób tolerowane w przyszłości” – tak przestrzegło kierownictwo Obserwatora swych obecnych i przyszłych dziennikarzy. Choć Mazurenko skorzystał jedynie z przysługującego mu prawa do wyrażenia opinii co do osób publicznych.

Już następnego dnia Mazurenko złożył następujące przeprosiny: „Z głębokim smutkiem przyjąłem fakt, że moja wczorajsza wypowiedź w programie »Debata Gozdyry« uraziła wielu z Was. Vox populi, vox Dei. Jako obywatel Rzeczypospolitej Polskiej pragnę podkreślić, że darzę instytucje państwa na czele z Prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej pełnym szacunkiem. Przepraszam wszystkich, których uczucia mogły zostać dotknięte moimi słowami”.

W Polsce każdy obywatel może skorzystać z prawa do wyrażania swoich opinii co do osób publicznych. W tym przypadku wszyscy obywatele RP są równi.

Jeśli jednak jesteś obywatelem ukraińskiego pochodzenia i nie masz zasłużonych kolegów z Solidarności albo komitetu poparcia aktualnego prezydenta RP, to morda w kubeł.

Zwłaszcza kiedy nie możesz liczyć na stanowisko *pachana*.

GAD

eprasa.pl 132b4b8a81

Mata Hari na baterie

Szpieg ma skośne oczy

„W dzisiejszym świecie granica między nowoczesnym gadżetem a narzędziem wywiadowczym niemal całkowicie się zatarła. Kiedyś symbolem inwigilacji był telefon czy laptop, dziś musimy zacząć tak patrzeć na samochody. Współczesny pojazd to w rzeczywistości naszpikowany sensorami komputer na kołach, który posiada zasilanie, łączność i ogromne możliwości zbierania danych w czasie rzeczywistym. Z punktu widzenia służb specjalnych – to »gotowiec«. Jeśli wywiad będzie chciał przejąć kontrolę nad takim źródłem informacji, to po prostu to zrobi" – ujawnia nam generał Maciej Materka, były szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Szpieg wyszkolony do łapania innych szpiegów. Obecnie już w cywilu, czyli lobbysta.

Baczność, kursanci!

Pewnie dlatego na fundamentalne pytanie: „Czy chińskie auta nas szpiegują?", generał antyszpieg odpowiada prosto, tak po żołniersku: „Potencjał jest ogromny. Te systemy łączą się z serwerami poza wiedzą użytkownika. I nie trzeba być technikiem, żeby to zrozumieć – wystarczy logika. Skoro samochód ma mikrofony (systemy alarmowe), kamery i stałe łącze, to staje się idealnym instrumentem wywiadowczym. Zresztą, najlepszym dowodem na to, że sprawa jest poważna, jest fakt, że sami Chińczycy zakazali Tesli wjazdu w niektóre rejony u siebie. Wiedzą, co takie auto może »zobaczyć« i »wysłać« dalej".

I obdziera nas z ostatnich, inteligenckich złudzeń: „Chiny prowadzą twardą grę z NATO. Służby wywiadowcze na całym świecie działają jak gangsterzy – nie mają zasad i biorą to, co leży na stole.

Jeśli mogą mieć darmowe rozpoznanie naszej infrastruktury wojskowej czy logistycznej przez tysiące aut na drogach, to po prostu to robią. Dodatkowo ich prawo pozwala państwu wejść do każdej prywatnej firmy i zażądać danych. To nie jest teoria spiskowa, to ich model państwa".

Na co stać takie „inteligentne" auto, punktuje analityczka Paulina Uznańska w poufnym raporcie Ośrodka Studiów Wschodnich, który właśnie wyciekł do krajowych mediów:

– kamery 360 st., LiDAR-y i radary mogą skanować otoczenie, tworząc precyzyjne mapy jednostek wojskowych czy portów,

– śledzić mogą trasy przejazdów i rytmy pracy kluczowych węzłów transportowych w czasie rzeczywistym,

– może dokonać kradzieży kontaktów i wiadomości z urządzeń podpiętych do systemu multimedialnego przez Bluetooth czy USB.

Analitycy i lobbyści przestrzegają, że istnieje też realna obawa, że w razie konfliktu producent aut mógłby zdalnie unieruchomić tysiące samochodów, całkowicie paraliżując logistykę atakowanego państwa. Wreszcie generał Materka głośno pyta: „Warto też przyjrzeć się systemom zniżek. Czy to przypadek, że dilerzy celują w grupy zawodowe takie jak mundurowi, prawnicy czy lekarze? To gotowa baza osób, które posiadają wrażliwe informacje. Rozmowy przez zestaw głośnomówiący o sprawach wagi państwowej czy zawodowej w aucie, które »wszystko słyszy«, to dla wywiadu kopalnia złota".

Na deser generał przypomina wybuchowe pagery sprzedawane bojownikom Hezbollahu. Jeden wysłany impuls i…

Kursanci, spocznij!

Z całkiem tajnych informacji, jakie przeciekły do polskich mediów, wynika, że niebawem szef Sztabu Generalnego generał Kukuła wyda rozkaz zakazu wjazdu na tereny wojskowe przez samochody chińskiej produkcji. A także zakaz parkowania ich w pobliżu jednostek wojskowych, baz i obiektów strategicznych dla państwa polskiego. Bo polscy antyszpiedzy uznali ponoć, że „oczy" chińskich samochodów widzą zbyt wiele, aby ryzykować ich obecność przy tajnych instalacjach. Jeśli tak się stanie, to Polska dodatkowo podzieli się. Znów na dwa plemiona. Sektor cywilny korzystający z dobrych i tanich chińskich samochodów oraz szeroko rozumiany sektor militarny. Skazany na używanie drogich, gorszych samochodów produkcji naszych aktualnych sojuszników wojskowych.

Zapewne długo jeszcze sektor cywilny będzie liczebnie większy niż rozrastający się wojskowy. To sprawi, że chińskich samochodów będzie coraz więcej. A miejsc parkingowych nie będzie przybywać, co już każdy kierowca widzi. To sprawi, że coraz więcej cywilnych kierowców będzie łamało rozkaz pana generała Kukuły. Będzie parkowało swe „chińczyki" w pobliżu jednostek wojskowych, baz i obiektów strategicznych, plując tak na jego generalskie wężyki. Będą parkować w większości nieświadomie, bo skąd cywilni kierowcy mogą wiedzieć, że ten zarośnięty barak to tajny, zapasowy punkt dowodzenia generała Kukuły? Powstanie konflikt między właścicielami dyskryminowanych narodowościowo chińskich samochodów a nową soldateską używającą samochodów pochodzących z NATO.

Potem, aby dalej nie wkurzać milionów cywilnych kierowców, potencjalnych przecież wyborców, kandydujący do parlamentu cywilny minister obrony w czasie swej kampanii wyborczej opublikuje im mapy i GPS-y. Z dokładną lokalizacją wszystkich tajnych jednostek wojskowych, baz i obiektów strategicznych dla państwa polskiego. W ślad za tym każdy kandydujący parlamentarzysta upowszechni podobne GPS-y ograniczone do powierzchni jego okręgu wyborczego. Po polsku oczywiście, żeby w razie czego Chińczycy ich nie odczytali.

Zresztą już po kilku miesiącach funkcjonowania zakazu parkowania generała Kukuły wszyscy mieszkańcy będą wiedzieć gdzie w okolicy są te tajne jednostki, bazy i obiekty. Bo stamtąd straż miejska i inne służby będą wyganiać samochody chińskiej produkcji. Nie zawsze skutecznie.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

W Polsce zawsze łatwiej było parkowania zakazać niż budować parkingi.

Krawat szpiegujący

Chińskie komponenty są wszędzie. W telefonach używanych w samochodach, zabawkach umilających jazdę samochodem, dywanikach samochodowych, apteczkach samochodowych, rozpylaczach miłych zapachów w samochodach, termosach samochodowych też. Te wszystkie chińskie produkty mogą być także używane w samochodach z fabryk amerykańskich, japońskich, francuskich, hiszpańskich, koreańskich, rumuńskich.

Wszystkie produkowane na świecie samochody, wyposażone w mikrofony, kamery, systemy łączności, mogą być używane do szpiegowania. Jak te chińskie. To potwierdził jednoznacznie generał Materka. Dodał jedynie: „Różnica polega na tym, z kim rywalizujemy".

Nie ujawnił niestety, czy chińska aparatura szpiegowska zamontowana w „inteligentnym" termosie może wykorzystać szpiegowskie oprzyrządowanie zamontowane w samochodzie produkcji hiszpańskiej. Rutynowo pracujące dla wywiadu hiszpańskiego, z którym teraz chyba nie rywalizujemy.

To niezwykle ważne dla ludzi wrażliwych, bo bogata historia szpiegostwa zna wiele przypadków podwójnych, potrójnych nawet, agentów. Czy możliwy jest samochód nafaszerowany świetną, bo chińską, aparaturą zbierającą informacje – wyposażony w ich przekaźniki do kilku wywiadowni? Szpiegujący dla kilku wywiadów naraz?

Mówi się powszechnie, że Rosja i Izrael mają rozbudowane i efektywne służby wywiadowcze. A przecież w Polsce samochody rosyjskiej i izraelskiej produkcji nie są tak chętnie kupowane jak chińskie. Jak oni szpiegują?

Samochodów polskiej produkcji też Polacy chętnie nie kupują. I to nie z obawy, że wtedy polska władza będzie ich lepiej szpiegować.

Nie chcę dociekać, jaka jest narodowość samochodów wykorzystywanych przez polskie służby specjalne. Polska nie, bo w patriotycznym kanonie nie godzi się, by Polak szpiegował Polaka. Choć premier Morawiecki całkiem niedawno obiecywał nam milion polskich samochodów elektrycznych. Czyli milion szpiegów wedle terminologii generała anyszpiega. Sen o milionie skończył się na produkcji komponentów do samochodów niemieckich. Szpiegujących nas też jak chińskie – ale pewnie szpiegujących przyjaźniej. Bo jak zawyrokował generał Materka: „Różnica polega na tym, z kim rywalizujemy".

Kłopot w tym, że w państwie uważającym się za praworządne, o sojuszach taktycznych i strategicznych nie powinni decydować byli funkcjonariusze służb specjalnych, aktualnie lobbyści, tylko politycy i mężowie stanu (a przede wszystkim parlamenty). Oni powinni przewidywać też przyszłe rywalizacje. Zwłaszcza kiedy stary ład międzynarodowy upadł, a nowy jeszcze się nie uformował.

Nie mam chińskiego samochodu ani nawet hulajnogi. Dostałem ostatnio jedwabny krawat chińskiej produkcji. Ale nie noszę go w pobliżu tajnych jednostek wojskowych, baz i obiektów strategicznych dla państwa polskiego. Przezornie zawsze milczę, kiedy go noszę. A kiedy przyjdzie mi pomaszerować „sznurem za mundurem", to starannie przykryję go szalikiem.

PIOTR GADZINOWSKI

Podlaskie Razem ogłosiło, że idzie nowe

Energia na socjale

To jeden z tych politycznych komunikatów, po których można z góry przewidzieć ciąg dalszy: nowy zarząd, nowa energia, zmiana generacyjna i absolutnie żadnej zmiany w skuteczności. Pięć osób w zarządzie zamiast czterech, bo liczba członków „wzrosła ponad trzykrotnie". Brzmi dumnie, dopóki nie zrozumiemy, że potrojenie marginalnej liczby daje nadal wynik marginalny.

Razem nie ma przewodniczącego, bo nie uznaje hierarchii. Jest za to kolegialność i równość, czyli system, w którym nikt nie rządzi, nikt nie odpowiada i nikt nie ponosi konsekwencji. Idealne warunki do produkcji petycji i oświadczeń. Do realnej polityki – znacznie mniej.

Rzecznik prasowy zapewnia o „nowej energii". Wierzymy. Energia w Razem zawsze była, tyle że zużywana głównie w mediach społecznościowych. Tam partia walczy z kapitalizmem, imperializmem i niesprawiedliwością świata. W rzeczywistości lokalnej walczy głównie z brakiem własnego znaczenia.

Najlepszym przykładem tej strategii była petycja o zerwanie współpracy Białegostoku z izraelskim miastem Jehud po inwazji Izraela na Palestynę. Gest piękny i moralny, ale kompletnie bez znaczenia dla władz miasta. Urząd miasta nie zareagował, rada miasta nie zareagowała, ale Facebook był zadowolony. A to przecież najważniejsze.

Nowy zarząd deklaruje klasyczny zestaw postulatów: zdrowie, mieszkania, komunikację publiczną, nierówności, demografię. Wszystko słuszne, wszystko znane i wszystko bez odpowiedzi na pytanie „jak?". To polityka deklaracji, nie decyzji. Program, który dobrze wygląda w komunikacie prasowym i nie wymaga sprawdzania w praktyce.

Szczególnie rozczulające są zapowiedzi przygotowań do wyborów i rozwoju struktur poza Białymstokiem.

Jeśli Razem ma problem z realnym zaistnieniem w stolicy regionu, to wizja ekspansji na mniejsze miejscowości brzmi jak plan podboju galaktyki: ambitny, medialny i kompletnie oderwany od zasobów.

Zmiana generacyjna sprowadza się głównie do tego, że młodsi działacze szybciej piszą posty i sprawniej obsługują Canvę. Treść pozostaje ta sama: moralna wyższość, brak kompromisów i przekonanie, że samo posiadanie racji powinno wystarczyć do rządzenia.

Nowy zarząd Razem w Białymstoku to nowa obsada w tym samym spektaklu. Te same hasła, te same metody i ta sama wiara, że internetowy aplauz da się kiedyś wymienić na realny wpływ. Reasumując. Podlaskie Razem ogłosiło, że idzie nowe. I rzeczywiście, bo „idzie" nowy komunikat. A polityka, jak była obok nich, tak nadal tam pozostaje.

JMP

WIEŚCI GMINNE i INNE

- Alicja Panek, recepcjonistka z Sheraton Sopot Hotel, została w Brukseli wicemistrzynią świata w konkursie World's Best Receptionist 2026. Gratulujemy szczerze. Z przykrością musimy jednak dodać, że najprawdopodobniej nigdy nie będziemy mieli okazji skorzystać z jej usług. Nasze noclegi w Zoppot to raczej hostele, bursy, noclegownie i izby wytrzeźwień. Tam również spotyka się ludzi światowego formatu, ale – co trzeba uczciwie przyznać – żaden z nich nie jest recepcjonistą.

- Na Dworcu Centralnym w Warszawie nieznana kobieta podpaliła włosy innej nieznanej kobiecie. Ofiarą okazała się niejaka Claudia Makowska, która obwieściła światu ten fakt w mediach społecznościowych. Włosy, jak to włosy, zajęły się ogniem błyskawicznie. Aspirant sztabowy Artur Wojdat z Komisariatu Kolejowego Policji zapewnia o intensywnych poszukiwaniach sprawczyni. Nieoficjalnie mówi się, że podpalaczka była kandydatką do udziału w reality show „Podpal i znikaj" Telewizji Trwam, który nigdy nie ujrzał światła dziennego i został zakazany, zanim nakręcono pierwszy odcinek.

- Na jednej z tych platform dla zboczuchów pojawił się film porno kręcony na Krupówkach w Zakopanem. Produkcja zrealizowana nocą na deptaku oburzyła część mieszkańców – reszta górali jeszcze nie widziała. Bohaterka wystylizowana na krupówkową kurtyzanę

eprasa.pl 132b4b8a81

Godek Horror Show

Państwo jest bierne wobec prolajferskich fanatyków

Obrońcy świeżo poczętych terroryzują lekarzy i pacjentki w kolejnych miastach. Dlaczego państwo polskie wciąż pozwala katolickim oszołomom zaglądać między nogi Polek?

Kaja Godek zachęcona sukcesem nagonki na szpital w Oleśnicy, w którym do niedawna pracowała ginekolog dr Gizela Jagielska, postanowiła wraz z grupą płodziarzy kontynuować antyaborcyjne tournée po Polsce. Po tym jak oleśnicka placówka nie przedłużyła kontraktów lekarce legalnie wykonującej terminacje ciąży i jej małżonkowi, protestujący urządzili polowanie na lecznice chętne zatrudnić lekarzy.

Niewesołe miasteczko

Demonstracje przeciwników skrobanek przeniosły się do szpitala w Ostrzeszowie w Wielkopolsce, gdzie ordynatorem został Łukasz Jagielski, a także do Opola, gdzie – jak głosiła niepotwierdzona informacja – pracę miała rozpocząć jego żona.

„Albo jest się szpitalem, albo rzeźnią. Na dłuższą metę nie da się tego połączyć" – ogłosiła Godek i rozszerzyła krucjatę. 18 stycznia aktywistka i jej wyznawcy z Fundacji Życie i Rodzina uzbrojeni m.in. w banery z wizerunkiem austriackiego akwarelisty i rozczłonkowanymi płodami pojawili się pod Szpitalem Specjalistycznym im. św. Wojciecha Adalberta na gdańskiej Zaspie. Po blisko dwugodzinnym show obrońców galaret przy akompaniamencie puszczanego z głośników płaczu dzieci zgromadzenie rozwiązał przedstawiciel prezydent Gdańska Aleksandry Dulkiewicz. Lepiej późno niż wcale, choć wcześniej władze Gdańska w odpowiedzi na apel Nowej Lewicy, by do zgromadzenia po prostu nie dopuścić, uznały, że nie ma ku temu podstaw…

Okazało się, że Godek poszła o krok dalej. Jeszcze w grudniu 2025 r. jej fundacja złożyła zawiadomienie do gdańskiej prokuratury, żądając ukarania za legalnie przeprowadzone zabiegi nie tylko lekarzy, ale i pacjentki szpitala na gdańskiej Zaspie. Godek nie przedstawiła żadnych dowodów na naruszenie prawa, a sam donos oparła na fakcie wykonania w placówce siedmiu legalnych aborcji. Skąd miała te dane? Uzyskała je w trybie dostępu do informacji publicznej. To te same dane, które każdego roku zasilają statystyki Ministerstwa Zdrowia. Mimo to 14 stycznia Prokuratura Rejonowa Gdańsk-Oliwa wszczęła wobec placówki postępowanie i zażądała wglądu w dokumentację medyczną pacjentek.

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

24 stycznia prolajferzy urządzili kolejną pikietę, tym razem pod szpitalem w Lubaniu. Znowu w obronie życia przed Gizelą Jagielską.

Na odsiecz

Z kampanią publicznego szczucia i stygmatyzacji, które zagrażają bezpieczeństwu personelu medycznego i pacjentek, postanowiła zawalczyć Fundacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny Federa. Organizacja wystosowała petycję, w której wezwała Ministerstwo Zdrowia, dyrektorów placówek medycznych, parlamentarzystów, samorządowców, prokuraturę i policję do traktowania wyskoków prolajferskich oszołomów jako potencjalnego zagrożenia bezpieczeństwa publicznego. W cywilizowanych krajach, w których terminacja ciąży jest powszechnie dostępna i legalna, problem religijnych fanatyków pod klinikami rozwiązano przez wprowadzenie stref ochronnych. W Wielkiej Brytanii, Irlandii czy Australii zaczepianie pacjentek, pokazywanie psujących apetyt grafik, klepanie modlitw i jakiekolwiek blokady w odległości mniejszej niż 150–300 m od placówki są zagrożone konkretnymi karami. Co więcej, protest nie może być słyszalny.

Dla przykładu w Anglii i Walii grzywna za złamanie zakazu wynosi 10 tys. funtów, a w poważniejszych przypadkach limit ten przestaje obowiązywać. Tylko w 2025 r. mogły się o tym przekonać dwie osoby, które ukarano mandatem na 20 tys. funciaków za stanie z plakatem i cichą modlitwę. I tak łagodnie, bo za antyaborcyjne piruety można nawet trafić do pierdla na dwa lata. Grzywnę do 15 tys. euro i rok kicia można zarobić za manifestowanie antyaborcyjnych poglądów w odległości mniejszej niż 150 m od lecznicy we Francji. W Australii za pojedynczy happening obowiązuje podobny co w Anglii cennik, jeśli natomiast korekta zachowania nie odniesie skutku, władze zapraszają na rok za kraty. Rozwiązania okazały się bardzo praktyczne i abortowały religijnych bojówkarzy spod klinik.

Polska ma to, nie przymierzając, w piździe, a działania organów szeroko pojętej sprawiedliwości i bierność polityków zdają się to tylko potwierdzać.

Zamiana ról

Wytyczne prokuratora generalnego są klarowne i mówią, że postępowanie prokuratorskie w sprawach dotyczących aborcji powinno się opierać wyłącznie na „dowodach lub informacjach wynikających z konkretnych okoliczności, a nie na przeczuciach, pogłoskach czy przypuszczeniach".

Przepisy nie nakładają też na prokuratorów obowiązku wszczynania jakichkolwiek postępowań na wniosek obrońców macicznych galaret. Sam fakt terminacji ciąży nie jest wystarczającą przesłanką do uznania zabiegu za przestępstwo.

Wszystko to psu w dupę. W kwietniu 2025 r. Prokuratura Rejonowa w Oleśnicy wszczęła śledztwo w związku z podejrzeniem złamania prawa w oleśnickim szpitalu, gdzie Gizela Jagielska dokonała słynnego na całą Polskę zakończenia ciąży w dziewiątym miesiącu jej trwania z powodu ciężkiej wady genetycznej płodu. Postępowanie ruszyło, choć nikt nie złożył zawiadomienia. Przesłanką były jedynie doniesienia medialne. Rozochoceni tym manewrem antyaborcyjni zamordyści poszli za ciosem i zaczęli regularną akcję szczucia zarówno na placówkę, jak i na pacjentkę. Ukoronowaniem bezhołowia katolickich zadymiarzy była „interwencja" Grzegorza Brauna na oddziale oleśnickiego szpitala. Kiedy szambo wybiło, ówczesny minister sprawiedliwości Adam Bodnar triumfalnie poinformował, że ta sama prokuratura, która szukała dziury w całym, wszczęła śledztwo w sprawie napaści Brauna na szpital. Ostatecznie prokuratura uznała, że „jeśli są spełnione tzw. przesłanki ustawowe, to każda metoda przerwania ciąży, która jest zgodna z aktualną wiedzą medyczną i na którą wyraziła zgodę pacjentka, jest dopuszczalna i legalna". Krótko mówiąc, usunięcie lokatora z macicy było zgodniejsze z prawem niż wtykanie w nią prokuratorskiego nosa. Cóż z tego, skoro miasteczko makabry Godek i podobnych jej oszołomów na stałe wrosło w krajobraz szpitala w Oleśnicy, a Jagielska straciła pracę?

Od blisko roku z podobnymi atrakcjami mierzy się warszawska przychodnia aborcyjna AboTak. Wolontariuszki Fundacji Aborcyjny Dream Team i mieszkańcy kamienicy przy ulicy Wiejskiej 9 są nękani przez stada godkowców światłami stroboskopowymi wymierzonymi w okna, wuwuzelami, syrenami alarmowymi, krwawymi pikietami i atakami kwasem masłowym. Warszawski ratusz i politycy mają to gdzieś, choć przychodnia znajduje się w sąsiedztwie sejmu i działa legalnie. Z zainteresowaniem nad placówką pochylił się natomiast wymiar sprawiedliwości. 23 stycznia br. Sąd Okręgowy w Warszawie uchylił postanowienie Prokuratury Rejonowej Warszawa-Śródmieście o odmowie wszczęcia postępowania w sprawie działalności przychodni AboTak. Zawiadomienie do prokuratury o pomocy w aborcji z naruszeniem ustawy i nielegalnym obrocie lekami złożył Instytut Ordo Iuris w marcu 2025 r. Sąd uznał, że decyzja prokuratorów była przedwczesna, oparta na niekompletnym materiale dowodowym i nakazał ponowne jej rozpatrzenie.

Tak jak nie można być trochę w ciąży, tak politycy koalicji rządzącej nie mogą stać w rozkroku neutralności między bezpieczeństwem kobiet i lekarzy a obawą o obrazę uczuć religijnych katolickich fundamentalistów. Do roboty!

IDALIA DUBICKA

(nawet nie w stroju regionalnym!) pokazywała dupę. Obejrzeliśmy podobnie jak 500 tys. ludzi, czyli dużo więcej, niż czyta tę rubrykę. Generalnie film to nuda. Spodziewaliśmy się owiec, kozic, niedźwiedzi, oscypków w pachwinie i ciupag, a tu nic. Ale wniosek jest prosty: łatwiej zrobić karierę, pokazując dupę, niż wygrać ją felietonem. Młode adeptki dziennikarstwa powinny brać to pod uwagę.

▮ Premier Donald Tusk w trosce o bezpieczeństwo państwa, a zwłaszcza syna, postanowił pozbyć się komendanta Służby Ochrony Państwa gen. bryg. Radosława Jaworskiego. Jak pamiętamy, synalkowi premiera ktoś „pożyczył" Lexusa w Sopocie, a generał Jaworski, zamiast pilnować, pewnie czytał konstytucję. Teraz generał wisi, a Lexus się znalazł. Paradoks służb specjalnych: jak wszystko masz pod kontrolą, to jesteś nikim, ale jak czegoś nie upilnujesz, to od razu stajesz się bohaterem.

▮ Pfizer pozywa Polskę do sądu w Brukseli za zerwanie umowy na dostawę szczepionek przeciwko COVID-19. Koncern żąda niemal 6 mld zł za 60 mln nieodebranych dawek. W kwietniu 2022 r. Polska ustami ówczesnego ministra zdrowia Adama Niedzielskiego odmówiła przyjęcia kolejnych dostaw, powołując się na siłę wyższą – wojnę na Ukrainie. Farmaceutyczny gigant twierdzi, że nie ma związku między wojną a niewywiązaniem się Polski z umowy. Eksperci szacują, że Pfizer ma 60–70 proc. szans na pełne odszkodowanie, 25–35 proc. na ugodę, a Polska – jedynie 5–10 proc. na uniknięcie kary.

▮ PESA Bydgoszcz połknęła niemieckiego producenta tramwajów HeiterBlick GmbH z Lipska. Teraz to my będziemy dyktować, jakie tramwaje będą jeździć po niemieckich torach. To historyczny moment – rzuciliśmy Deutsche Wirtschaft na kolana. Po zdobyciu HeiterBlicka czekamy tylko, aż Izera przejmie Mercedesa, a PLL LOT – Lufthansę. Wtedy to i krzywdy wojenne pójdą w zapomnienie.

▮ Polregio (pociągi regionalne) ogłosiło historyczny sukces. W 2025 r. z usług przewoźnika skorzystało ponad 102,6 mln pasażerów, co stanowi najlepszy wynik w historii spółki. W porównaniu z 2024 r. liczba podróżnych wzrosła o 1,7 mln. Pociągi pokonały w tym czasie 62,5 mln km, czyli dystans równy temu, jaki dzieli Ziemię od Wenus, gdy obie planety znajdują się po przeciwnych stronach orbit, ale nadal względnie blisko siebie.

▮ Media z upodobaniem pastwią się nad kierowcami BMW. Tymczasem statystyczne BMW w Polsce ma 16 lat, licznik pokazuje 236 tys. km przebiegu, a 76 proc. egzemplarzy to importowane, bite sztuki. Dajcie spokój. Nie można dyskryminować kierowców ze względu na markę samochodu, kolor skóry tapicerki ani wyznanie silnika (dieslowcy kontra benzynowcy oraz diaspora jeżdżąca na gazie i amperianie z zakonu świętej wtyczki). To czysty szowinizm motoryzacyjny. Choć – przyznam szczerze – sam jakoś za ambasadorami kierunkowskazu nieużywanego nie przepadam. Najwyraźniej też padłem ofiarą stereotypu.

▮ Plotka głosi, że na systemie kaucyjnym PolKa można nieźle zarobić. System przyjmuje butelki bez szemrania i płaci 50 gr za sztukę. 100 butelek – 50 zł. Wystarczy tylko nakleić na butelkę kserowaną etykietę z napisem „kaucja x zł". Operator systemu straszy ośmioma latami za wyłudzenie i pięcioma latami za fałszerstwo. Bzdura! Umorzą z powodu niskiej szkodliwości społecznej czynu.

▮ 29-letni mieszkaniec Piły ukradł ciągnik do odśnieżania za 25 tys. zł. Urządził nim rajd do Motylewa, gdzie zdemolował posesję i wszczął awanturę. Policja go złapała z kluczykami w kieszeni. Nie bądźmy jednak zbyt surowi – ciągnik był tylko środkiem transportu. Prawdziwy problem to droga, którą ten człowiek już dawno orał. No i pewnie miał swoje uzasadnione powody, żeby odśnieżać cudzą posesję kradzionym traktorkiem.

▮ W Podkowie Leśnej, mieście-ogrodzie pod Warszawą, hucznie świętowano pierwsze urodziny stacji ładowania samochodów elektrycznych przy Urzędzie Miasta Podkowa Leśna (ul. Akacjowa 39/41). Stacja zapewnia możliwość ładowania dwóch samochodów jednocześnie (2 x 22 kW). Jubilatka czuje się nadal dobrze, rzec można – w normie wieku, o czym burmistrz Podkowy Leśnej Magdalena Eckhoff poinformowała, gdzie tylko się dało. Jeśli chodzi o samopoczucie pani burmistrzyni – brak danych.

▮ PKO BP utrudnia dostęp do waszych własnych pieniędzy. Teraz, by zrobić przelew, trzeba zrobić sobie selfie i obnażyć dowód osobisty przed kamerą. Bank nie toleruje półmroku, żarówek 40 W ani klimatu „noc w kuchni". Twarz ma być oświetlona jak do castingu w TVP. Zbyt rozbawiony – podejrzany. Zbyt zmęczony – podejrzany. Zbyt poważny – też podejrzany. Trzeźwość wizualna – algorytm zna spojrzenie „to był tylko jeden kieliszek". Włosy po poduszce, czapce albo życiu – niezalecane. Ale nie dajcie się zwieść. To nie troska o wasze oszczędności, lecz kolejny krok inwigilacji wprowadzany podstępnie przez państwo opresyjne. Dotyczy to jednak tylko 26,8 mln klientów PKO BP, pomiędzy którymi mnie na szczęście już nie ma.

▮ Pod Chrzanowem zatrzęsła się ziemia. Powiatowe Centrum Zarządzania Kryzysowego zanotowało 30 zgłoszeń o drżeniu budynków, pękających ścianach i spadających żyrandolach. Epicentrum wstrząsu o magnitudzie 3,0 w skali Richtera zlokalizowano w rejonie Libiąża i Chrzanowa. Podejrzewa się, że to nie kaprys natury, lecz sprawka kopalni „Janina" w Libiążu. To dowodzi ponurej prawdy: największym zagrożeniem dla człowieka jest... drugi człowiek.

▮ W Krynicznie koło Środy Śląskiej aresztowano 31-letniego Patryka K. Prokuratura we Wrocławiu twierdzi, że Patryk zabił matkę, a potem... odgryzł jej kawałek twarzy.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Wstrętny matkobójca i matkożerca. Ups, przepraszam, poniosło mnie. Nie ferujmy wyroków przed sądami.

▮ Globalne ocieplenie – gdzie jesteś, ty meteorologiczna kurwo?

RJ

PS Przedstawione powyżej okoliczności mogą okazać się nieprawdziwe, niepełne lub zniekształcone, albowiem pochodzą z mediów regionalnych, których standardy weryfikacji informacji bywają ograniczone. Autor oraz wydawca nie ponoszą odpowiedzialności za jakiekolwiek skutki wynikające z dalszego rozpowszechniania treści, ich interpretacji lub wykorzystania przez osoby trzecie.

eprasa.pl 132b4b8a81

Zbędna histeria wokół trumpowej głupoty

Obrażeni

Prezydentowi USA często zdarza się lapnąć, co mu ślina na język przyniesie, a ponieważ nie konsultuje tego uprzednio ze swoim fachowym otoczeniem – rozmija się z prawdą. Chętnie obraża ludzi i państwa. Dotknięci różnie na to reagują. Litościwsi lub bardziej od USA uzależnieni puszczają mimo uszu, większość zwyczajnie prostuje, nie robiąc z tych omyłek większego problemu. Chyba że mają podstawy sądzić, iż wyznawca dewizy MAGA obraził ich rozmyślnie i celowo.

Ostatnio w Davos Trump lapnął, że Stany Zjednoczone przez długi czas osłaniały inne państwa NATO parasolem swej potęgi militarnej, a te im się za to na ogół nie odwdzięczały. Owszem, po ataku Al-Kaidy 11 września 2001 r. posłały swoje kontyngenty w sukurs odwetowej wyprawy US Army do Afganistanu, ale te sojusznicze wojska, według Trumpa, trzymały się drugiej linii frontu i starć z wrogiem – oraz w konsekwencji strat – unikały. „Nic nam nie pomogli!" – perorował. Posądzenie bezpodstawne, sprzeczne z faktami. Po trosze w ogóle nie na temat.

W 20-letniej wojnie afgańskiej trudno mówić o froncie i drugiej linii. Miała ona charakter półpartyzancki. W wielu prowincjach miasta pozostawały pod kontrolą sił rządowych wspieranych przez Stany Zjednoczone i ich wojska, a wsią rządzili nie do końca pokonani talibowie. Niebezpiecznie było wszędzie, zwłaszcza na drogach podstępnie minowanych.

W różnych okresach i w różnym zakresie Stany Zjednoczone wspierały w Afganistanie wszyscy członkowie NATO – na podstawie art. 5 traktatu waszyngtońskiego – ale także kilkanaście innych państw. Łącznie 48 państw wysłało na tę wojnę kontyngenty wojskowe: w większości symboliczne, tylko w kilkunastu przypadkach znaczące, zawsze oczywiście znacznie mniejsze niż amerykański. Ten ostatni w szczytowym okresie wojny liczył 90 tys. żołnierzy. Sojusznicze zaś – licząc według najwyższych stanów ich kontyngentu: Wielka Brytania 9500, Niemcy 4811, Francja 4000, Włochy 4000, Polska 2600, Kanada 3000 żołnierzy. Inne państwa odpowiednio mniej, 14 poniżej setki. Najmniej Austria – tylko trzech wojaków. Te kontyngenty były rotacyjne i w ciągu 20 lat wielokrotnie zmieniane i uzupełniane.

Jeśli idzie o straty, to najbardziej oczywiście ucierpiał gospodarz wojny Stany Zjednoczone – 2463 poległych (2,8 proc. kontyngentu). Ich sojusznicy kolejno: Wielka Brytania – 455 poległych (4,5 proc. kontyngentu), Kanada – 158 (5,1 proc.), Francja – 86 (2,1 proc.), Niemcy – 54 (1,1 proc.), Polska – 44 (1,8 proc.), Dania – 43 (4,9 proc.), Australia – 41 (2,7 proc.). 22 uczestniczące formalnie w wojnie państwa nie poniosły żadnych strat w ludziach. Wojska sojusznicze walczyły w bezpośredniej konfrontacji z talibami, ale też zabezpieczały komunikację – zgodnie z życzeniami amerykańskiego dowództwa operacji. Taka była rzeczywistość, którą Trump lekkomyślnie zignorował lub – co też możliwe – której w ogóle nie znał.

Wywołał awanturę, mniejszą lub większą. Państwa dotknięte posądzeniem ich żołnierzy o dekownictwo reagowały różnie. Większość zignorowała tę obelgę. Odezwały się tylko te, które na tej wojnie miały większe kontyngenty i poniosły większe straty – najczęściej prostowaniem, w kilku przypadkach oburzeniem i protestami.

Wyróżniła się Polska, gdzie elity polityczne i ich komentariat podniosły wielki lament, traktując wypowiedź Trumpa jako rozmyślną obelgę narodu, coś na kształt „polskich obozów zagłady".

Najgłośniej protestowali dziennikarze. Wywierali nacisk na polityków, którzy starali się ważyć słowa ze względu na stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. Czasami wyglądało to zabawnie. W tytule: „Haniebne słowa Trumpa. Ostra reakcja Nawrockiego" – a w treści tylko bardzo enigmatyczne oświadczenie prezydenta wielbiące polskich bohaterskich żołnierzy bez wspominania o Trumpie i Afganistanie.

Wygłup Trumpa został wykorzystany w walce politycznej duopolu KO–PiS. Obie strony oskarżały się o pobłażanie „skandalicznej wypowiedzi Trumpa" i zarzucały rywalowi brak stanowczości. Obie też – a zwłaszcza ich komentariaty – w tym świętym oburzeniu nie unikały demagogii i wykraczania poza granice zdrowego rozsądku. Ktoś dowcipnie zauważył: inne państwa zareagowały tak, jak by Trump nadepnął im na palec, Polska – tak, jak by nadepnął na honor.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Przy okazji nasi żołnierze gremialnie zostali mianowani „bohaterami". Na prawdziwych wojnach armie en bloc zyskują miano walecznych, na tytuł zaś „bohatera" trzeba dodatkowo zasłużyć. Poświadczają to odpowiednie ordery, nasz „virtuti", rosyjski „georgij" lub „gwiazda gieroja", niemiecki „eiserne kreuz" itp.

Obecna święta wojna w obronie honoru narodu i żołnierza robi niezbyt poważne wrażenie. Obraca się wokół spraw drugorzędnych, a pomija zasadnicze. Biorąc pod uwagę charakter wojny afgańskiej, nie ma znaczenia, gdzie kto walczył – czy na froncie, którego tam z reguły nie było, czy gdziekolwiek indziej. Kwestia zasadnicza polega na tym, że

w tej wojnie nie należało uczestniczyć. Nie leżała ona w naszym interesie, nie mieliśmy czego szukać w górach Afganistanu. Nie była też sprawiedliwa. Z perspektywy amerykańskiej również.

Talibowie nie stali za zamachem w Nowym Jorku, jedynie udzielali schronienia Bin Ladenowi. Kilka lat później takiego schronienia użyczył mu Pakistan, a przecież Ameryka nie wydała mu z tego powodu wojny; pozostaje jej sojusznikiem. Talibowie to obrzydliwa zgraja religijnych fanatyków, ale niestety ciesząca się poparciem ludności afgańskiej. Dlatego wojnę ze Stanami i NATO wygrali, zmusili ostatecznie amerykańskich „bohaterów" do sromotnej ucieczki z Kabulu.

Udział w tej wojnie – podobnie jak w bliźniaczej wojnie z Irakiem, gdzie sami wprosiliśmy się do „koalicji chętnych" – chluby nie przynosi. Nie jest to wina żołnierzy, posłały ich tam nasze władze. Żołnierzom należy się szacunek i wsparcie. Ale unosić się honorem nie ma powodu.

W.Z.

Degrengolada

SŁOWO CZERWONE

Ameryka dziczeje – a świat razem z nią

Światem zawsze rządziła siła, ale nigdy tak bezceremonialnie. Trump stosuje się do rady żony żegnającej męża, który wyrusza na wojnę, z piosenki Okudżawy: „I zabierz im słodkie pierniczki, bo przecież to wróg". W przypadku Wenezueli słodkie pierniczki to ropa naftowa. 10 proc. światowych zasobów.

Prezydent USA zapowiada, że będzie rządził Wenezuelą. Na co Bernie Sanders, senator z Vermontu i najbardziej znany lewicowy polityk w Stanach Zjednoczonych, odpowiada: „jak ty możesz rządzić Wenezuelą, skoro nie potrafisz rządzić Stanami Zjednoczonymi". W odpowiedzi na okrzyki o przejęciu Grenlandii Sanders zapytał Trumpa: „Jeśli Stany Zjednoczone odbiorą Grenlandię Danii, czy będzie to oznaczać dla wszystkich Amerykanów bezpłatną opiekę zdrowotną i studia? 52 tygodnie urlopu macierzyńskiego? I pięć tygodni płatnych wakacji? Bo właśnie do tego ma prawo każdy obywatel Danii i Grenlandii".

Eksport amerykańskiego stylu życia nie jest już zwiastunem lepszych czasów: młody Amerykanin z wyższym wykształceniem rozpoczyna karierę zawodową z długiem za studia sięgającym średnio 200 tys. euro (ponad 845 tys. zł). Gdy po 10 latach go spłaci, młodość dawno minie, a do emerytury jeszcze daleko.

Życie w USA pod rządami Trumpa to nie jest bajka. Jakim cudem w najbogatszym kraju świata jest tyle biedy, tylu ludzi, którym nie starcza na jedzenie, którzy nie mają ubezpieczenia zdrowotnego? Bo ten wysoki dochód dzieli się bardzo nierówno. Z jednej strony pracujący biedni – ok. 30 mln osób, którzy mimo iż mają pracę, nie mogą wyrwać się z pułapki ubóstwa; z drugiej – 1 proc. najbogatszych Amerykanów kontrolujący 31,7 proc. całego majątku narodowego. To najwyższy poziom nierówności od 1989 r., kiedy rozpoczęto pomiary.

30 proc. majątku narodowego ma również 1 proc. najbogatszych Polaków – ustaliło Światowe Laboratorium Monitorowania Nierówności Thomasa Piketty'ego. Polska jest krajem w pełni wzorującym się na amerykańskim śnie, który polega na szybkim wzroście kosztem coraz większej nierówności.

To szkoła darwinizmu społecznego, który nie tylko ustanawia, ale też uzasadnia model, w którym duży zadeptuje małego i słabego. Ten darwinizm Trump stosuje w swej szaleńczej polityce międzynarodowej.

Nic dziwnego, że prezydent USA kibicuje silnej Rosji, a poniża słabszego Zełenskiego. Trump zazdrości Putinowi jego absolutnego jedynowładztwa. I coraz energiczniej zrzuca z siebie okowy praworządności. Gdy przyjrzeć się temu, co się dzieje na ulicach amerykańskich miast – tropienie, aresztowanie, deportacja mniejszości, bezkarne strzelanie do oponentów, coraz częstsze wprowadzanie wojska wszędzie, gdzie jest choć ślad sprzeciwu – to zrozumiemy, co może czekać narody podbite przez Trumpa. Skoro nie waha się zaprowadzać „porządku" metodami państwa policyjnego w „błyszczącym mieście na wzgórzu", to z pewnością nie będzie się krępował, gdy zrealizuje groźbę, że pod pozorem walki z przemytem narkotyków jego wojska wkroczą do Meksyku.

Ponad połowa państw na świecie to kraje niedemokratyczne, więc w każdej chwili – choćby pod tym pretekstem – mogą stać się obiektem bombardowań zarządzanych przez Donalda Trumpa. Z tego grona można chyba wyłączyć Koreę Północną, która ma broń jądrową i rakiety do jej przenoszenia.

Uzasadnienie pretensji do Grenlandii jest dość mętne. Argumenty strategiczne nie są przekonujące, bo nic nie wskazuje na to, by Chiny czy Rosja szykowały się do inwazji na te nieprzebrane połacie lodu. Mania wielkości przejawia się u Trumpa potrzebą zajmowania coraz większych obszarów.

Grenlandia jest duża i bezbronna. Podobnie jak Kanada. Praktycznie rzecz biorąc, zajęcie tych obszarów nie powinno stanowić dla armii USA żadnej przeszkody. Oznaczałoby to jednak przekroczenie Rubikonu. Zerwanie USA ze wspólnotą Zachodu. Rozwalenie Paktu Północnoatlantyckiego. Mokre sny prezydenta w bejsbolówce o podwojeniu powierzchni Stanów Zjednoczonych są więc na razie odkładane. Ale kolejne ekscesy – jak porwanie prezydenta Wenezueli – to badanie, jak daleko w bezczelnym łamaniu prawa międzynarodowego Ameryka może się posunąć.

Ta postawa bezkarności i bezprawia ze strony silniejszych może się okazać zaraźliwa. Trump, który ostatecznie zerwał z demokracją, jest idolem dyktatorów, którzy „poprawność polityczną" polegającą na przestrzeganiu praw człowieka i prawa międzynarodowego uważają za dawno porzuconą utopię.

Pręży więc muskuły prezydent Karol Nawrocki, który wielbi Trumpa za to, że jest takim samym jak on prymitywnym chamem, tylko po wielekroć silniejszym. To typowa osobowość autorytarna, której cechą jest kopanie leżącego i lizanie butów silniejszemu.

Trump, przywódca największej na świecie potęgi militarnej, pokazuje światu, że nie trzeba przestrzegać żadnych zasad. Bernie Sanders udowadnia, że pod rządami satrapy żyje się coraz gorzej. A z porównania cen wynika, że przeciętny Amerykanin – w odróżnieniu od Europejczyka – nie bardzo może sobie pozwolić na codzienną kawę z ciastkiem. Bo nasze są słodkie pierniczki.

PIOTR IKONOWICZ

Rys. TOMASZ ROGOWSKI

Krótki kurs

Wiatraki są brzydkie w środku i na zewnątrz

Jesteś polskim politykiem, dziennikarzem albo żołnierzem. Los sprawia, że będziesz miał spotkanie z prezydentem USA Donaldem Trumpem. Uważaj! Prezydenta USA łatwo jest obrazić, a wtedy nakłada ci cła, straszy przyłączeniem do USA albo porywa i dożywotnio zamyka w areszcie. Razem ze ślubną małżonką. Na szczęście tym, co go denerwuje, a co cieszy, Trump dzieli się często i obszernie w swoich social mediach oraz podczas spontanicznych wypowiedzi. Można się przygotować.

W Polsce lubimy zaczynać rozmowę pytaniem „jak **zdrowie**?". Zły pomysł!

Spekulacje na temat jego stanu zdrowia wielce Trumpa irytują i wielokrotnie były przyczyną awantur z dziennikarzami. W zeszłym roku 79-letni Donald miał zrobiony rezonans magnetyczny oraz testy na zaburzenia funkcji poznawczych. Dziennikarzom na pokładzie samolotu Air Force One powiedział dumny, że rezonans był „absolutnie doskonały", chociaż nie umiał odpowiedzieć, jakiej części ciała.

eprasa.pl 132b4b8a81

Rada Niepokoju

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Nagroda pocieszenia

Prezydent Donald Trump lubi zaskakiwać świat niespodziewanymi deklaracjami, a co gorsza decyzjami – przy czym w miarę starzenia się robi to coraz częściej. Moim zdaniem chodzi mu nie tyle o jakieś konkretne inicjatywy, ale o zwrócenie światowej uwagi na samego siebie, co jest charakterystyczną motywacją osób o egocentrycznej osobowości. Już przed 10 laty amerykańska dziennikarka Salena Zito twierdziła, iż słowa Trumpa należy traktować poważnie, ale nie dosłownie. Obecnie również traktowanie poważne zdaje się coraz trudniejsze.

Zarząd, nie rada

Najnowsza inicjatywa Trumpa w polskich mediach nazywana jest Radą Pokoju – jednak „Board of Peace" to raczej Zarząd Pokoju. I taka właśnie nazwa lepiej odzwierciedlałaby istotę tego tworu. Choć rada, podobnie jak zarząd, jest z założenia strukturą kolektywną, jest między nimi istotna różnica. W radzie prezes jest wybierany spośród jej członków; prezes zarządu jest nominowany przez kogoś lub coś nadrzędnego wobec tegoż zarządu.

W zamyśle Trumpa ów wytwór miałby się zajmować nie konsultacjami w ramach mitycznej rady, lecz właśnie zarządzaniem światem – oczywiście pod przewodem jego samego. Najwyraźniej marzy mu się powrót do stanu z początku lat 90., kiedy po upadku ZSRR świat nagle stał się jednobiegunowy, poddany de facto dominacji Stanów Zjednoczonych.

Jednak w geopolityce tak jak w fizyce akcja wywołuje reakcję. Bezrefleksyjny amerykański triumfalizm doprowadził do tego, czego ani Rosjanom, ani Chińczykom nie udało się osiągnąć przez dekady wspólnoty ustrojowej – mianowicie zbliżenia się Moskwy i Pekinu. Stanowiło to zalążek powolnego, ale konsekwentnego obumierania świata jednobiegunowego. Następnie do bloku Chin i Rosji dołączyły kolejne kraje o liczącym się potencjale gospodarczym – Brazylia, Indie i RPA – tworząc BRICS. Co prawda struktura ta po rozszerzeniu jej na kolejne państwa przeszła jak gdyby w stan uśpienia – jednak w każdej chwili może się z tej drzemki obudzić.

Podziały światowe jeszcze bardziej uwidoczniły się po wybuchu konfliktu między Rosją a Ukrainą. Świat podzielił się na trzy strefy: państwa popierające Ukrainę i tym samym antyrosyjskie, kraje w większym lub mniejszym stopniu wspierające Rosję oraz pozostałe, neutralnie obojętne. Przypomina to trochę sytuację z drugiej połowy ubiegłego wieku, kiedy równolegle do obozów dwóch dominujących mocarstw nuklearnych działał ruch państw niezaangażowanych, wewnętrznie podzielony na te, którym było bliżej do ZSRR (np. Kubę), amerykańskich sojuszników takich jak Arabia Saudyjska i niemałą liczbą krajów neutralnych.

Chiny poddawane maoistowskim eksperymentom znajdowały się wówczas na marginesie światowej geopolityki. Obecnie sytuacja jest diametralnie inna. To właśnie Państwo Środka stało się ekonomiczną potęgą, czołowym graczem na arenie międzynarodowej i tym samym głównym rywalem USA. W tej rywalizacji Stany poszukują popleczników, w związku z czym można domniemywać, iż za „pokojową" inicjatywą prezydenta USA kryje się chęć wzmocnienia Trumpa w jego konfrontacji z Pekinem. Z tym mogą być jednak problemy, gdyż wiele państw – jak choćby kraje poradzieckiej Azji czy Mongolia – w pragmatyczny sposób współpracują z Chinami i będą przedkładać chińskie inwestycje nad nieprzewidywalną politykę Przywódcy Wolnego Świata.

Nawrocki jak Putin

Inicjatywa Trumpa powoduje niejakie zamieszanie. Z jednej strony zaprasza on imiennie czołowych polityków; z drugiej strony do jego wytworu mają przystępować państwa jako takie. Skoro wpisowe ma wynosić miliard dolarów, to kto ma za to płacić? Zaproszony prezydent czy skarb jego państwa?

Jak do tej pory ze strony różnych krajów spływają sprzeczne deklaracje. Do inicjatywy przystąpili aktualni amerykańscy sojusznicy jak Argentyna, Arabia Saudyjska czy Maroko, a także Węgry i Turcja, które rozgrywają tu swoje własne gry. Niektóre państwa arabskie jak Egipt, Jordania, Katar czy Zjednoczone Emiraty weszły do tej struktury ze względu na jej pierwotny cel – unormowanie sytuacji w Strefie Gazy. Jednak, jak zwrócił uwagę hiszpański premier Pedro Sánchez, w składzie rady – czy zarządu – który ma decydować o przyszłości Gazy, nie znalazło się miejsce dla Autonomii Palestyńskiej, mimo że amerykański plan przewiduje utworzenie w strefie czegoś w rodzaju palestyńskiego samorządu technicznego, który miałby się zajmować bieżącym administrowaniem. Jak często (słusznie) słyszymy, nie można decydować o przyszłości Ukrainy bez Ukrainy, ale w odniesieniu do Palestyny ta zasada, jak się okazuje, nie obowiązuje.

Zwraca uwagę także fakt, że spora część ochotników zdaje się kierować chęcią utrzymania dobrych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi czy wręcz potrzebą dowartościowania z ich strony. Dotyczy to choćby Kosowa, a przede wszystkim Białorusi. Trumpowi przeszkadzał nieuznawany przez wiele państw Maduro, ale jakoś nie wadzi mu znajdujący się w analogicznej sytuacji Łukaszenka, który już zaoferował swój udział w trumpowym przedsięwzięciu. W dowód wdzięczności za amerykańską nobilitację prezydent Białorusi głosi peany na cześć pomysłu Trumpa, nazywając go „nowym paradygmatem rozwiązywania konfliktów w skali globalnej", jednoczącym „kwiat społeczności międzynarodowej", obejmujący kraje gotowe wziąć na siebie „misję budowy trwałego pokoju". W odróżnieniu od krajów europejskich – z Polską i Litwą na czele – które hołubią Swiatłanę Cichanouską wraz z całą antyłukaszenkowską emigracją, Trump nad kontakty ze słabą i skłóconą opozycją przedkłada rozmowę z kimś, kto sprawuje realną władzę na Białorusi. Specjalny amerykański wysłannik ds. Białorusi John Coal wprost zaprzeczył doniesieniom biura Cichanouskiej, jakoby miał oferować jej współpracę, oświadczając, że nie kontaktuje się „z żadnym z tych ludzi" i pośredniczy jedynie w rozmowach między rządami Białorusi i USA.

Na zaproszenie Trumpa, jak do tej pory, nie odpowiedział w sposób jednoznaczny ani Karol Nawrocki, ani Władimir Putin, co jeszcze nie oznacza, że Nawrocki jest agentem Putina, a tym bardziej vice versa.

Rosyjski prezydent zajął pozycję wyczekującą, wyraźnie sugerując, czego spodziewa się w zamian; podczas spotkania z palestyńskim liderem Mahmudem Abbasem mówił, że gotów jest wyasygnować miliard dolarów na przywrócenie pokoju w Gazie, zaznaczając, że pieniądze te pochodziłyby ze środków zamrożonych w USA. Ponieważ zostały zamrożone jeszcze przez poprzednią administrację, ich odblokowanie jest całkiem możliwe, zważywszy na organiczną nienawiść Trumpa wobec Bidena. Jeśli – jak mówił Putin – Trump zdecydowałby się na taki krok, to byłaby to rewolucyjna zmiana w polityce Zachodu wobec Rosji. Jak na razie słyszymy, że sprawa jest na etapie przeglądu dokumentów i konsultacji ze strategicznymi partnerami.

Wyczekuje też Karol Nawrocki manewrujący pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a polityką krajową. Zapewne chętnie by przystał na propozycję Trumpa, gdyby nie pewien niuans polegający na tym, że znalazłby się w jednym klubie z Łukaszenką i prawdopodobnie Putinem.

W utrzymaniu tej rozkrocznej pozycji pomógł Nawrockiemu nie kto inny jak Tusk, który ogłosił, iż przystąpienie Polski do jakiejś organizacji międzynarodowej wymaga zgody parlamentu, co Nawrocki natychmiast podchwycił. Wygląda to bardziej na wymówkę niż na chęć przestrzegania prawa ze strony obu panów. Nie jest bowiem jasne, czy trumpowy organ ma być organizacją międzynarodową, czy tylko dobrowolnym stowarzyszeniem wybranych państw – tak jak np. Grupa Wyszehradzka czy Trójkąt Weimerski, o tzw. koalicji chętnych (do walki z Rosją) nie wspominając. Inne kraje, choć pewnie też mają odpowiednie zapisy konstytucyjne, nie zawracają sobie głowy ratyfikacjami i zgłaszają swój akces bądź odmawiają udziału bez debat parlamentarnych. Wystarczy decyzja szefa rządu lub głowy państwa.

Po co to Trumpowi?

Donald Trump co i raz chwali się, że doprowadził do wygaszenia ośmiu konfliktów międzynarodowych. Faktycznie przyczynił się do zakończenia walk pomiędzy Rwandą i Demokratyczną Republiką Konga oraz długotrwałej wojny Azerbejdżanu z Armenią, jednak za każdym razem coś na tym zyskując. W pierwszym przypadku – dostęp do najbogatszych na świecie złóż koltanu i kobaltu; w drugim – uzyskanie kontroli nad drogą transportową łączącą oba kraje.

Powstaje pytanie: skoro amerykański prezydent uważa, że jest tak skuteczny, że sam sobie radzi z rozwiązywaniem konfliktów, po kiego grzyba potrzebna mu jeszcze jakaś rada? Trump deklaruje, że nowa struktura będzie najbardziej skutecznym ciałem, jakie kiedykolwiek powstało, i to w sytuacji, gdy zaproszenie otrzymała mniej niż połowa państw członkowskich ONZ, z czego mniejszość je przyjęła.

Być może ma to być dla Trumpa swoista nagroda pocieszenia – skoro nie udało mu się załapać na pokojowego Nobla, to chce zapisać się w historii jako twórca nowego organu na skalę światową. Może to jednak być zapis niechlubny, jeżeli walki będą trwały i pojawią się nowe konflikty, z którymi Trump nie da sobie rady.

Z kolei próba wskrzeszenia jednobiegunowego świata pod amerykańskim przywództwem musi budzić niepokój nie tylko w regionach już poddanym amerykańskim naciskom – jak Ameryka Łacińska czy Grenlandia – ale także w innych częściach naszego wspólnego przecież świata. Jedyna nadzieja w tym, że Rada Niepokoju okaże się, jak większość koncepcji Trumpa, przedsięwzięciem chybionym i kompletnie nieefektywnym.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

trumpizmu

Chwalił się też wielokrotnie, że zaliczył testy poznawcze „jak as" – a były niezwykle trudne. Pierwsze pytanie testu składało się z czterech obrazków: lwa, żyrafy, ryby i hipopotama. Badany musiał wskazać żyrafę. Udało się za pierwszym razem. Potem podobno było już gorzej, ale Trump innych pytań i swych odpowiedzi nie ujawnił.

Amerykańscy dziennikarze nieustannie zwracają uwagę na duże krwiaki, które pojawiają się na dłoniach prezydenta. Rzeczniczka Białego Domu najpierw tłumaczyła je ściskaniem wielu rąk, a w styczniu wydała komunikat, że Trump uderzył dłonią w róg stołu podczas podpisywania dokumentów w Davos.

Dziennikarkę „New York Timesa", która wielokrotnie pisała o zdrowiu prezydenta, Trump publicznie nazwał brzydką. I to brzydką podwójnie: w środku i na zewnątrz. Zatem jeśli nie chcesz usłyszeć szczerej opinii na temat swojej urody, lepiej Trumpa o zdrowie nie pytać. Warto za to pogratulować mu poprawnego rozpoznania żyrafy.

• •

Lepiej zacząć rozmowę z Trumpem od pogodnego tematu – **pogody.** Możesz powiedzieć: „Ale zimno, Panie Prezydencie, a przecież miało być cieplej". Atmosfera rozmowy od razu się ociepli. Trump nie wierzy w zmianę klimatu wywołaną przez człowieka, uważa że to oszustwo (hoax). Szczegóły tego oszustwa są według Trumpa różne. Kiedyś twierdził, że to oszustwo Chin, aby gospodarka amerykańska nie była konkurencyjna, ostatnio mówił o „środowiskowych powstańcach" oraz pytał, co się stało z globalnym ociepleniem, skoro w telewizji zapowiedziano burze śnieżne.

Z tematu zimy i oszustwa klimatycznego płynnie można przejść do tematu wiatraków. Tych Trump nienawidzi bardziej niż dziennikarki „New York Timesa" i Somalijczyków. Według Trumpa wiatraki są brzydkie w środku i na zewnątrz, zabijają ptaki, przynoszą 1000 dol. straty przy każdym obrocie śmigła, niszczą wartość okolicznych nieruchomości, a państwa, które inwestują w energię wiatrową, są głupie i upadną.

Mądre są za to Chiny, które sprzedają wiatraki innym, ale u siebie ich nie budują. Trump wie, bo będąc w Chinach, żadnego wiatraka tam nie widział. W rzeczywistości Chiny są obecnie największym na świecie producentem energii z wiatru; na drugim miejscu są USA. W Chinach jest największa na świecie farma wiatrowa – elektrownia Gansu widoczna z kosmosu. Ale o tym nie wspominaj.

• •

Skieruj rozmowę na to, co martwi każdego ciężko pracującego na rzecz swojego kraju polityka. Na złe i nieuczciwe **media.** Tutaj możecie wspólnie ponarzekać na „fake news media". Dodatkowo Trump szczególnie nie znosi komików prowadzących programy typu „late night talk show", czyli wieczornych programów satyrycznie komentujących wydarzenia dnia lub tygodnia. Potrafił w nocy, w trakcie trwania takiego programu pisać obraźliwe komentarze o prowadzących. Skutecznie zaszantażował telewizję CBS, doprowadzając do zdjęcia z anteny programu „The Late Show With Stephen Colbert". Z ABC chciał zwolnić znanego z prowadzenia gali wręczania Oscarów Jimmyego Kimmela; tym razem nieskutecznie, bo wobec masowych protestów telewizja przywróciła Kimmela, a ten jeszcze brutalniej atakuje Trumpa.

Trump rewanżuje się mu często. Podczas wręczania nagród w Narodowym Centrum Kultury im. Kennedyego – od niedawna Trumpa i Kennedy'ego – obecny prezydent ogłosił, że nie przygotowywał się do roli prowadzącego, ale i tak poradzi sobie lepiej niż ten okropny Jimmy Kimmel. I dodał, że jeśli nie pobije teraz Kimmela talentem, to nie nadaje się do roli prezydenta USA. O tym już nie wspominaj, bo wyniki oglądalności Trump miał słabsze i do tematu nie wrócił. Oczywiście nadal obraża Kimmela.

• •

Nie wspominaj też o **Somalijczykach.** Trump ich szczególnie nie znosi. Pytał publicznie, czemu do Stanów nie przyjeżdżają imigranci z Danii i Szwecji, tylko z Somalii, która jest państwem upadłym i kupą śmieci.

Wyjątkowo zaś Trump nie znosi Ilhan Omar, amerykańskiej członkini Izby Reprezentantów pochodzącej z Somalii. Omar ma w sobie wszystko, czego Trump nie lubi. Jest kobietą, imigrantką, muzułmanką i demokratką. Trump wielokrotnie mówił jej, że jest w USA nielegalnie, bo wyszła za mąż za swego brata.

Tematu Somalijczyków lepiej nie ruszać, chyba że potraktujemy go jako uniwersalne narzekanie na opozycję.

• •

O czym najbardziej lubi rozmawiać Trump? O sukcesach Trumpa. Dlatego, aby ocieplić nastrój rozmowy, szybko wspomnij o wyborach z 2024 r., które Trump wygrał zdecydowanie z Kamalą Harris. Trump uwielbia mówić o swoim **zwycięstwie** i wspominać stany, w których wybory wygrał. Chwali się tym nawet dzieciom.

W ramach świątecznej akcji dobroczynnej prezydencka para odbiera telefony od dzieci pragnących uzyskać informację, gdzie jest teraz Święty Mikołaj. Kiedy Trump rozmawiał z chłopcem z Oklahomy, zamiast o Mikołaju, mówił o tym, jakim wspaniałym stanem jest Oklahoma, gdzie z dużą przewagą trzy razy wygrał wybory. I radził, aby chłopiec nigdy się stamtąd nie wyprowadzał. Oklahoma to jeden z najgorszych stanów pod względem jakości życia. Chłopiec opowiedział nieśmiało, że spróbuje.

• •

Wspomnij Trumpowi też o ośmiu **wojnach,** które zakończył, i **nagrodzie** pokojowej od FIFA, którą otrzymał. Szef FIFA wymyślił taką nagrodę specjalnie dla niego, by dostać wolną rękę w organizacji mistrzostw świata w USA i by osłodzić prezydentowi brak prawdziwej Pokojowej Nagrody Nobla.

O Noblu nie wspominaj, chyba że w kontekście złego rządu Norwegii, który nie wiedzieć czemu nagrodę przyznał jakiejś babie z Wenezueli. Nie wspominaj o Epsteinie, inflacji, polskich żołnierzach poległych w Afganistanie i zamieszkach w Minnesocie.

Spotkanie zakończ życzeniami wygrania w wyborach trzeciej kadencji oraz ciepłym „Do zobaczenia w Radzie Pokoju, Panie Prezydencie".

LEON ORŁOWSKI

eprasa.pl 132b4b8a81

Algorytmie, powiedz przecie...

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Niemal każdy wyprodukowany dziś magister wkrótce będzie dla urzędu pracy tym samym co ktoś po podstawówce

Harvard w każdej gminie – pod takim hasłem budowano polskie szkolnictwo wyższe przez ostatnie ponad 30 lat. Efekt mamy taki, że dorobiliśmy się akademickiego przemysłu dyplomowego, który nie tyle kształci, ile produkuje dyplomy. A rozmowa o tym, że prywatne Collegium Humanum to patologia, jest grubą przesadą. Bo system, który każe za kasę produkować magistrów, działa tak samo zarówno na uczelniach prywatnych, jak i publicznych.

Dyplom za kasę

I nie trzeba być ekspertem, by zauważyć, że uczelnie w Polsce – niezależnie od szyldu – przypominają dziś bardziej przedsiębiorstwa usługowe niż ośrodki naukowe. Współczesny uniwersytet to kombinat, którego celem jest nie tyle edukacja, co utrzymanie się na powierzchni finansowej i maksymalizacja przychodów.

Uczelnie prywatne mają prostą logikę przetrwania: student płaci – student musi dostać dyplom. Czesne to dziś średnio od 5 do nawet 12 tys. zł rocznie za studia pierwszego stopnia. Mnożąc to przez trzy lata i liczbę studentów, można zrozumieć, dlaczego w rektoratach nikt nie chce ryzykować odpływu klientów.

Bo tym właśnie dla uczelni są żacy: klientami, którym trzeba zapewnić komfort, dostępność i jak najmniej problemów. Zaliczenia mają być szybkie, egzaminy przystępne, wykłady możliwie niestresujące.

O wiedzę nikt nie pyta. Liczy się terminowe opłacanie faktur.

Prywatna uczelnia w jednym z miast wojewódzkich reklamowała niedawno swoje studia hasłem: „U nas każdy znajdzie coś dla siebie – nawet jeśli nie lubi się uczyć". Rektor tejże szkoły w rozmowie z lokalnym portalem powiedział wprost: „Staramy się być elastyczni. Nie każdy student jest orłem, ale każdy zasługuje na szansę".

Ale na uczelniach publicznych nie jest inaczej. Te z kolei dostają pieniądze za każdego studenta z państwowej dotacji. Według ostatnich wyliczeń roczne dofinansowanie uczelni na jednego studenta to około 15 tys. zł. Jeśli więc student nie zda, zostanie skreślony, to razem z nim znika kawałek uczelnianego budżetu. Dlatego zamiast selekcji mamy konserwację. Zamiast weryfikacji wiedzy – przymykanie oczu. Uczelnie nie oblewają, bo pieniądze muszą się zgadzać.

Są uczelnie, na których średnia zdawalność egzaminów sięga 98 proc. Jeden z wykładowców dużej uczelni państwowej przyznał anonimowo, że na jego kierunku od trzech lat nie oblał nikt.

„Jak mam ich oblać, skoro rektor powiedział wprost, że każdy student to kasa?" – mówi. „A pieniądze są potrzebne, bo uczelnia ma kredyt na nowy gmach, trzeba opłacić ogrzewanie i pensje kadry".

Nic dziwnego, że dziś nawet uczelnie techniczne rekrutują ludzi, którzy nie zdawali rozszerzonej matematyki. Na kierunki biologiczne przyjmują bez biologii. A potem dziekani płaczą w mediach, że poziom spada. Dla kadry uczącej studentów już nawet nie spada. Bo dla nich już dawno sięgnął dna.

Do tego dochodzą mechanizmy subsydiowania uczelni za tak zwane punkty parametryczne. W skrócie: im więcej studentów, publikacji i grantów, tym więcej pieniędzy z budżetu państwa. Ale to zachęca do masowego przyjmowania studentów i produkowania badań, których nikt nie czyta. Jedna z uczelni opublikowała w ostatnich trzech latach ponad 1300 artykułów naukowych, z których większość została cytowana jeden raz. W dodatku przez autorów z tych samych uczelni.

Dlatego politechnika może mieć wydział zarządzania sportem, a akademia humanistyczna prowadzić studia z projektowania gier komputerowych. Uniwersytet Rzeszowski prowadził niedawno nabór na kierunek „coaching i mentoring" w trybie weekendowym. Koszt? Około 7 tys. zł rocznie. W pakiecie: podstawy programowania neurolingwistycznego (NLP), komunikacja empatyczna, zarządzanie stresem. Do tego certyfikat. Na pytanie o naukowość programu nikt nie odpowiada. Ale przecież nikt też nie pyta. Bo student nie jest tu po to, by się czegoś nauczyć. On przyszedł po papier.

Weryfikowani przelewem

Zasady tej gry są proste: nie wychylać się, nie narzekać, odbębnić wymagane minimum i zgarnąć dyplom. Tylko naiwny myśli, że na studiach chodzi o edukację. W rzeczywistości chodzi o przetrwanie i maksymalne wykorzystanie systemu.

Najpierw więc wybiera się taki kierunek, na którym można studiować, nie wychodząc z domu. Najlepiej zdalnie, najlepiej bez kamerki. Potem szuka się kumpli ze starszych roczników – najlepiej z materiałami z egzaminów. W grupach na Facebooku funkcjonują całe hurtownie gotowych odpowiedzi. Wysyła się PDF, dostaje się komplet testów z ostatnich pięciu lat.

„Ja całą anatomię zrobiłam przez ChatGPT" – mówi Weronika, studentka pielęgniarstwa na uczelni państwowej. „Pytania były z bazy, odpowiedzi z internetu. Zdane na czysto".

Inny student przyznaje, że pracę licencjacką pisał mu Ukrainiec znaleziony na forum. Koszt – 900 zł. Wersja w Wordzie, plik PDF, bibliografia. Promotor przyjął bez uwag.

Coraz popularniejsze stają się też „usługi edukacyjne" – całe firmy oferujące pisanie prac, zaliczanie przedmiotów, a nawet logowanie się na zdalne kolokwia. Ich oferty reklamują się w mediach społecznościowych bez żadnych przeszkód. „Nie masz czasu? Zrobimy to za ciebie" – głosi jeden z banerów. Pod spodem lista usług: od eseju po obronę dyplomu z autoprezentacją.

Studenci są doskonale zorientowani w realiach. Wiedzą, że skreślenie z listy to strata dla uczelni. Wiedzą, że kadra nie ma żadnej motywacji, by egzekwować wiedzę. Nawet na uczelniach medycznych są przypadki ludzi, którzy nigdy nie pojawili się na zajęciach. Płacili, mieli znajomych, odbierali zaliczenia. Dziś mają tytuł „magistra zdrowia publicznego". Będą pracować w NFZ, w marketingu medycznym albo pisać analizy dla urzędów. Ale i tak są w lepszej sytuacji niż absolwenci kulturoznawstwa, politologii czy zarządzania zasobami ludzkimi. Ci po pięciu latach studiowania kończą na infolinii, w telemarketingu albo jako koordynatorzy niskiego szczebla. Średnia pensja? Około czwórki na rękę. I zero związków z wyuczonym zawodem. Bo wykształcenie wyższe nie gwarantuje dziś niczego. I wszyscy o tym wiedzą.

Kto czatem wojuje...

A nawet gwarantuje mniej, bo wszak pojawiła się sztuczna inteligencja. Narzędzie, które już dziś wykonuje pracę dziennikarzy, prawników, grafików, tłumaczy, a nawet programistów.

ChatGPT zdał egzamin adwokacki w USA. Inne modele AI przeszły testy lekarskie, certyfikaty językowe, a nawet egzaminy MBA. Bez stresu, bez sesji, bez indeksu.

To dlatego studenci piszą z pomocą AI swoje referaty. Używają generatorów do robienia prezentacji. Wypełniają ankiety, redagują maile i tłumaczą teksty. Sztuczna inteligencja stała się ich korepetytorem, wykładowcą i biblioteką w jednym. I na razie działa to na ich korzyść.

Ale co się stanie za pięć lat, gdy rynek pracy nasyci się narzędziami, które zrobią to samo, co magister tego czy owego, tyle że szybciej, taniej i bez etatu? Czy posiadanie dyplomu z marketingu da przewagę nad botem, który w 0,2 sekundy wygeneruje plan kampanii, analizę SWOT i harmonogram działań? Czy absolwent prawa pokona algorytm, który zna wszystkie orzeczenia i potrafi wygenerować wzór apelacji w czasie krótszym niż aplikant przeczyta pytanie?

Eksperci alarmują, że rynek wykształcenia wyższego musi się diametralnie zmienić. Zamiast masowej produkcji dyplomów powinien stawiać na kompetencje, praktykę, adaptacyjność. Ale nikt tego nie słucha. Uczelnie nadal rekrutują. Nadal wystawiają indeksy. Nadal zaliczają i dyplomują. Bo to się po prostu opłaca. A że za kilka lat ich absolwentów zastąpią boty, roboty i algorytmy? Cóż. Wtedy się powie, że trzeba się przekwalifikować.

Ale dziś jeszcze się studiuje. Jeszcze się śle przelewy. Jeszcze się odbiera papiery. Bo „trzeba coś skończyć". Bo „dyplom zawsze się przyda". Bo „babcia się ucieszy".

TADEUSZ JASIŃSKI

Gra w klasy

Wojna o status, język i godność

W Polsce jest jedna klasa społeczna: średnia. Jedna, wspólna, narodowa – bo jeden jest bóg, jeden naród i jeden jedynie możliwy system. Tego, co gryzie i nie pasuje do narracji sukcesu – wyzysku, wstydu, choroby, kredytu na 30 lat, braku dentysty na NFZ i chronicznego niewyspania – w Polsce rzekomo nie ma. A „klasa średnia" to nasze świeckie zaklęcie. Wypowiadasz je i nagle nie jesteś biedna, tylko „na dorobku". Nie jesteś wykorzystywana, tylko „elastyczna". Nie masz stabilności, ale masz „potencjał". A jak coś nie wychodzi, to widocznie za słabo chciałaś.

Spójrzmy na to uważniej. 70 proc. ludzi deklaruje, że do tej klasy należy. 70! Ale uwaga – to nie jest statystyka, to jest zamierzona operacja. Polityczna i propagandowa. Dzięki niej człowiek z dwoma tysiącami na głowę i człowiek z 10 tysiącami na głowę patrzą w to samo lustro i mają zobaczyć podobny styl życia. Różnice mają być kosmetyczne, nigdy strukturalne. W takim lustrze nie zobaczysz uśmiechniętej twarzy kogoś na podatku liniowym, kto wrzuca w koszty benzynę i wakacje. Nie zobaczysz prywatyzacji ochrony zdrowia sprzedawanej jako wolność wyboru. Zobaczysz tylko siebie. I prosty komunikat: jeśli coś nie gra, to z tobą.

Tymczasem system ma swoje bezczelne dowody. Jeden z nich jest biologiczny, twardy i zimny jak szyba wystawowa luksusowego sklepu, za którą puszą się modne ciuchy. W Polsce różnica w długości życia między mężczyzną z wyższym wykształceniem a mężczyzną z podstawowym wynosi 12 lat. 12! To nie jest styl życia. To jest różnica między „doczekam emerytury" a „nie doczekam". Między „zróbmy badania" a „niech będzie, co ma być".

Klasa w Polsce nie jest dziś tylko kwestią portfela. Jest kwestią kodu dostępu. Kapitał kulturowy bywa ważniejszy niż pieniądz – „znajomy lekarz" działa jak karta VIP do człowieczeństwa. Jedni wiedzą, jak poprosić o konsultację, jak zadzwonić, jak się nie dać spławić i mają 350 zł na koncie. Inni mają tylko ciało, które boli, i wstyd, że nie potrafią go opisać „odpowiednio".

I tu wchodzimy w nową wojnę klas – wojnę o status, język i godność. Twoim jedynym wrogiem nie jest dziś milioner z serialu nalewający sobie whisky w designerskiej kuchni. Najczęściej jest nim ktoś bliżej: ekspert, menadżer sensów, przedstawiciel klasy profesjonalno-menedżerskiej – ktoś, kto żyje z zarządzania wiedzą, językiem, procedurą i standardem. Strażnik bramki. To tacy jak on pilnują normy. To oni potrafią jednym zdaniem wyprodukować upokorzenie. Czasem wystarczy krótkie: „nie rozumiesz – hm, to problematyczne".

Znam ten mechanizm także od środka. Jako osoba transpłciowa wiem, że język potrafi ratować życie. Wiem też, jak łatwo potrafi je komuś zniszczyć. Jak szybko zmienia się w bramkę na osiedlu, przy której stoi strażnik i sprawdza, czy masz prawo wejść. Poprawność, nowe terminy, neozaimki – same w sobie często potrzebne – w realnym świecie działają jak test statusowy. Jeden błąd. Mina. Ostracyzm. Czasem utrata pracy. A ludzie z klas ludowych nie mają amortyzacji. Dla nich błąd językowy bywa ryzykiem egzystencjalnym.

Wtedy pojawia się polityk z miną swojaka. Elity śmieją się z jego ludowej biografii, z bramkarskiej przeszłości, z kibicowskiego klimatu. Myślą, że demaskują. A robią mu kampanię. Uruchamiają odruch solidarności tych, którzy całe życie byli odsuwani na bok za akcent, gust, miejsce urodzenia i widoczny brak pieniędzy. Polityk może wtedy bez trudu grać obrońcę ludu, nie tracąc rezonu... swojego.

I tu jeszcze jedna pułapka – „biedyzm". Lepka, fałszywa troska, która mówi: niech lud ma swoje disco polo, swoje MMA, swoje głupotki. Jakby klasie ludowej należała się wyłącznie estetyka niskich oczekiwań.

Tymczasem lewicowa tradycja nie polegała na zostawianiu ludzi w kulturowym getcie. Polegała na awansie. Na bibliotekach, teatrach, edukacji i ochronie zdrowia. Na przekonaniu, że długie życie i dostęp do wiedzy nie są nagrodą za pochodzenie.

Kiedy więc słyszę, że klasy to przeżytek, mam ochotę zapytać: dla kogo. Zwłaszcza dla tych, którzy przeżyją 12 lat dłużej. To bardzo wygodne. Rynek kocha wojny zastępcze. Ktoś rozdaje karty, publiczność bije brawo, a stół – jak zawsze – należy do właściciela kasyna.

Wszyscy gramy w klasy. Tylko nie wszyscy znamy zasady. I dlatego całe to gadanie, że klasy się skończyły, że wszyscy jesteśmy teraz środkiem, brzmi nie tylko jak oczywisty absurd, ale jak śpiewana przy każdej okazji kołysanka. Śpiewana nie po to, żeby dziecko zasnęło, tylko żeby nie zaczęło płakać. Bo klasa wcale nie zniknęła. Zmanipulowano tylko słowo, które pozwalało ją nazwać bez wstydu. W jego miejsce wstawiono: „średnia" – termin miękki, uspokajający, pozbawiony konfliktu. Taki, który nie wymaga już żadnych pytań o władzę, wyzysk i podział życia na dłuższe i krótsze.

„Klasa" to słowo, które dzieli. „Klasa średnia" to słowo, które uspokaja. Jedno opisuje rzeczywistość. Drugie pilnuje, żeby nic się w niej nie zmieniło.

ANNA GRODZKA

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl 132b4b8a81

W obronie żywej substancji narodowej

Dzieci do nagonki

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dziadek wrócił z polowania, postawił w kącie strzelbę, lecz ta przewróciła się, sama wypaliła i trafiła w stopę dwuletnią wnuczkę delikwenta – doniosły w miniony poniedziałek media o wypadku w gminie Pasym w woj. warmińsko-mazurskim. Ranne dziecko wylądowało w szpitalu, gdzie zostało poddane operacji. Na szczęście udało się uratować stopę, choć na razie nie ma pewności, czy dziewczynka w przyszłości będzie w pełni sprawna.

Mylenie ludzi z dzikami, samowypalające strzelby, broń myśliwska bez nadzoru stająca się zabawką w rękach dzieci – te głośne w ostatnim czasie przypadki sugerują, że zdrowy rozsądek nakazywałby zakazanie myśliwym zbliżania się zarówno do broni, jak i do dzieci. Tymczasem wszystko zmierza w odwrotnym kierunku. Możemy być niemal pewni, że krew się jeszcze nie raz poleje.

Zakaz udziału nieletnich w polowaniach uchwalono w 2018 r., jeszcze za rządów PiS. Od tamtej pory myśliwce ciągle podejmują akcje kwestionujące zasadność takiego zakazu i zmierzające do jego cofnięcia. Jeszcze w grudniu 2025 r. pod auspicjami Konfederacji do sejmu wpłynął poselski projekt zmiany prawa łowieckiego zakładający umożliwienie dzieciom udziału w polowaniach w charakterze biernych uczestników i za zgodą rodziców. A w internecie ruszyła akcja lobbingowa na rzecz tych zmian. Kto żyw spośród myśliwców przekonywał, że taki zakaz to w zasadzie odebranie rodzicom możliwości wychowywania dzieci zgodnie ze swoimi przekonaniami oraz niszczenie pięknej tradycji.

Nie słyszeliśmy o żadnej tradycji wykonywania polowań za pomocą dzieci poza tym, że na planie filmu „Ostatnia paróweczka hrabiego Barry Kenta" – zobrazowanym w „Misiu" Stanisława Barei – użyto do nagonki dzieci z twarzami obwiązanymi szmatami, gdyż „nie miały wtedy opieki dentystycznej". Ale plan fikcyjnego filmu pokazany w prawdziwym filmie to nie jest żadna tradycja. No, dobra, może tam jakaś rozkapryszona progenitura rodzimej arystokracji brała udział w polowaniach, ale to raczej były wyjątki, szczególnie że arystokracja była dość nieliczna w ogólnej populacji dawnej Polski. Więc też się nie liczy.

Ale co my tam wiemy. Myśliwce wiedzą lepiej i bardzo starają się o to, by ich bachorzęta mogły uczestniczyć w polowaniach. Niesłusznie. PiS jako siła na wskroś patriotyczna, dbająca o substancję narodową, dobrze przemyślało wprowadzenie tego zakazu w nowelizacji prawa łowieckiego z 2018 r.

Biorąc pod uwagę, że myśliwym nader często zdarza się mylić człowieka z dzikiem, przywrócenie możliwości udziału dzieci w polowaniach jest prostą drogą do zmniejszenia dzietności w Polsce, a zatem do wygubienia tak cennej substancji narodowej. Szczególnie że myśliwi to ludzie mający w większości słuszne konserwatywne poglądy. Jako ludzie wrażliwi na wychowanie swoich dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami przekażą te poglądy dzieciom. I co? I te dzieci z zaszczepionymi wartościami pójdą potem w nagonce – już mniejsza z tym, czy z twarzami obwiązanymi szmatami, czy nie – i zostaną wystrzelane w charakterze dzików? Do tego nie można dopuścić! I PiS wiedział, co robi.

Zastanawiająca jest niekonsekwencja lobby myśliwskiego. Z jednej strony to konserwatywne środowisko przywiązane do tradycji (cokolwiek to znaczy), a z drugiej – niefrasobliwie wystawiające własne dzieci przesiąknięte wartościami na pewną śmierć. Jak Konfederacja, której przecież nie sposób odmówić równie słusznego światopoglądu w kwestiach tradycyjno-patriotycznych, mogła zgodzić się na patronowanie tak nieodpowiedzialnemu projektowi? No, chyba że... chyba że ma to być sposób na pozbycie się tych bachorów, które stawiają opór i stosownymi wartościami przesiąknąć nie chcą. Ma gówniarz lewackie ciągoty, rezonuje ekopropagandą albo – co gorsza – wyznaje różne tęczowe przekonania? To do nagonki!

EDYTA BAKER

Psi patrol

Charity washing nad Wisłą

Niewiele zjawisk poza powstańczymi zrywami narodowymi i zgonami osób publicznych powoduje takie wzmożenie pod polskim niebem jak dobroczynność. Rodacy chętnie otwierają serca i portfele przed ofiarami kataklizmów, wypadków i namnażania komórek nowotworowych – o ile mają polski PESEL oczywiście. Bardziej niż dzieci bez rączek i chromosomów wzruszają Polaków tylko zwierzątka. Widok burka w schroniskowym boksie ruszy największego twardziela. Każdy, kto spróbuje wyręczyć niewydolne opiekuńczo państwo, zostanie bohaterem. Ktokolwiek podniesie nań rękę, kończynę straci. Zaczadzone marketingiem społeczeństwo traci instynkt i kąsa jak popadnie.

Hau, hau

W połowie stycznia bank medialnego kapitału charytatywnego rozbiła Dorota Rabczewska. Fala mrozów, która skuła kraj lodem, rozgrzała serduszko piosenkarki. Gwiazda zakupiła niezbędne akcesoria do ocieplenia bud, aby zwierzęta mogły przetrwać okres niskich temperatur w możliwie komfortowych warunkach. Przebieg całej akcji zrelacjonowała na swoim Instagramie. Celebrytka odwiedziła schronisko w Celestynowie i przedstawiła fanom czworonogi czekające na swój dom. Doda nie tylko uruchomiła autorskie wyzwanie „Hot As Ice", nominując inne gwiazdy show-biznesu do wspierania pobliskich schronisk, ale także zaproponowała firmom reklamę na swoim Instagramie w zamian za realną pomoc. Przedsiębiorstwa chętne wypromować się na profilu piosenkarki mają przekazać równowartość sponsorowanego posta (od 100 tys. zł wzwyż) na karmę lub materiały do wyposażenia zwierzęcych przytulisk. Wielki gest dla braci mniejszych spotkał się z ogromnym entuzjazmem.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Pięć minut celebryckiego zainteresowania losem zwierząt roztropnie wykorzystali schroniskowi wolontariusze. Z moralnego obowiązku i w akcie desperacji niemocy donieśli piosenkarce o dalekich od pieszczot przypadkach praktyk niektórych placówek. Na pierwszy ogień ogólnopolskiego skandalu poszło schronisko dla bezdomnych zwierząt w Bytomiu. Warunki panujące w przybytku były dalekie od humanitarnych. Zwierzaki trzymano na chłodzie, nie dbano o ich wyżywienie ani zabezpieczenie weterynaryjne. Nie bez przyczyny. Animal Auschwitz praktykowało sprawną eutanazję lokatorów, żeby zrobić miejsce dla kolejnych. Przy okazji wyszło na jaw, że jeden z podopiecznych przeżył zabieg uśmiercania i w nagrodę spędził dwie doby wśród trucheł pozostałych nieszczęśników. Oczko wyżej w skali skurwysyństwa wskoczyło schronisko Happy Dog (o ironio!) w Sobolewie w woj. mazowieckim. Zwierzaki były głodzone, nie miały dostępu do wody pitnej, opieki weterynaryjnej i nie były wyprowadzane na spacery. Trzymano je w ciasnych klatkach usłanych gównami. Podróż za tęczowy most fundowano trutką na szczury. Doda odwiedziła obie placówki i dzięki dużym zasięgom zainteresowała psim burdelem wszystkie szczeble administracji państwowej z premierem włącznie. 20 stycznia piosenkarka wzięła udział w posiedzeniu sejmowej Komisji Nadzwyczajnej ds. ochrony zwierząt, gdzie mówiła o systemowych patologiach i apelowała o pilne zmiany. Oklaski rozległy się z najdalszej części sali, choć pojawiły się pierwsze zgrzyty.

Kto dogoni psa?

Ogólnonarodową euforię nad krucjatą artystki zaczęli krytykować malkontenci. W social mediach jak grzyby po deszczu wyrastały opinie, że Rabczewska ma wyrok w zawiasach za zastraszanie byłego partnera, a pod koniec grudnia na YouTubie pojawił się reportaż Jakuba Wątora, który obnażył prawdziwe oblicze celebrytki. Prędko wysnuto oskarżenie, że psia akcja ma na celu ocieplenie wizerunku Rabczewskiej. Zupełnie niepotrzebnie. Sprawa wyroku jest stara i powszechnie znana, a sama Doda nie wygląda na osobę, którą ruszają dziennikarskie śledztwa twórców internetowych. Co prawda nad piosenkarką wisi kolejny topór sprawiedliwości, ale do rozstrzygnięcia sprawy jeszcze daleko. Chodzi o majową wpadkę z kampanią reklamową suplementu diety Hashi Gummies marki Doda D'eau Foods (w sensie własnej), który to specyfik wedle zapewnień celebrytki wyleczył ją z choroby Hashimoto. Na razie sprawę sprzedaży niepotwierdzonej badaniami ściemy badają prokuratorzy na zlecenie rzecznika praw pacjenta. Jeśli uznają, że piosenkarka zrobiła klientów w prącie, mogą przyklepać do miliona złotych kary. Zresztą, nawet jeśli, to co z tego? Przynajmniej próbowała zarobić na ludzkiej głupocie, a nie psim nieszczęściu.

Z medialną odsieczą na pomoc Rabczewskiej ruszyła inna celebrytka Paulina Młynarska. W dobrej – jak można mniemać – wierze udostępniła na swoim facebookowym profilu post organizacji Gunslab.pl. „Żyjemy w jakiejś alternatywnej rzeczywistości! O patologicznych praktykach schronisk dla zwierząt od lat mówią praktycy, wolontariusze, lekarze weterynarii i zwykli obywatele. Czarna Lista Organizacji Prozwierzęcych publikuje regularnie przykłady! Są sygnały, dokumenty, kontrole i co? Cisza. Żeby ktoś w końcu spojrzał na problem pato-schronisk i nielegalnych praktyk organizacji prozwierzęcych, musiała nagłośnić sprawę Doda" – napisała organizacja i oznaczyła nawet we wpisie Macieja Perzynę, lekarza weterynarii, hodowcę psów myśliwskich i zapalonego myśliwego związanego z warszawską SGGW, który nawoływał do eksterminacji populacji dzika i odstrzału wilka. Głupio wyszło. Młynarska jest zadeklarowaną miłośniczką zwierząt, przeciwniczką myśliwych i samych polowań. Gunslab.pl to strona poświęcona broni palnej, łowiectwu i strzelectwu. Co więcej, wspomniana Czarna Lista Organizacji Prozwierzęcych od miesięcy spuszcza po brzytwie wszelkie inicjatywy mające poprawić los zwierząt, często siejąc prawicową dezinformację. Widocznie się pani Młynarska nie wczytała. Zdążyła jednak zauważyć, że krytyka Dody wynika z hejtu na kobiecą sprawczość. W kolejnym wpisie podkreśliła: „Wśród wszystkich rzeczy, które Doda powiedziała ostatnio: jedno zdanie jest kluczowe. »Zaznaczam, że tych psów nie obchodzi, kto im pomaga«". Otóż nie do końca.

Daj łapę

Po nagłośnieniu realiów katowni w Sobolewie sprawy nieco wymknęły się spod kontroli, by nie powiedzieć, że zerwały z łańcucha. Kiedy decyzją powiatowego inspektora weterynarii placówka została zamknięta, ok. 200 osób – aktywistów, miłośników zwierząt i głodnych błysków fleszy, ruszyło do dzikiej ewakuacji zwierząt. Ludzie forsowali siatki, wynosili na rękach oszalałe ze strachu psy z kojców, przekazywali fundacjom albo, co gorsza, zabierali do domów. Bez formalności i jakiegokolwiek nadzoru.

Już na drugi dzień w sieci pojawiły się relacje innych przytulisk o telefonach od świeżych właścicieli, którzy jednak woleliby oddać uratowane psie sierotki. Śmierdzące, zarobaczone i agresywne wskutek stosowanej przemocy zwierzęta kiepsko się prezentowały na sofie w salonie.

Część psów trafiła do organizacji takich jak Dolnośląski Inspektorat Ochrony Zwierząt (DIOZ) czy Fundacja Judyta. Ta pierwsza nie cieszy się najlepszą opinią. Organizacja ma na koncie wyroki sądowe za kradzież zwierząt, toczyły się wobec niej postępowania prokuratorskie i CBŚ o malwersacje finansowe i bezprawne przywłaszczanie psów czy manipulacje faktami o zabranych zwierzętach. Po ewakuacji psów z Sobolewa DIOZ natychmiast uruchomił kolejną zbiórkę, której zebrana kwota przekroczyła już 360 tys. zł.

Tematem katowanych psów zainteresował się też Krzysztof Stanowski, który pojechał do schroniska Happy Dog w asyście Rabczewskiej i relacjonował interwencję. Złośliwi twierdzili, że próbuje się zrehabilitować po niedawnym skandalu, kiedy nagrano go w klubie go-go w towarzystwie jednej z tancerek. Nie grali w szachy, ale kto wie, może rozmawiali o psach?

Jedno ze zwierząt wyniosła patocelebrytka i była żona posła PiS Marianna Schreiber. Nic dziwnego, dobrze się ogrzać przy psim futrze, przede wszystkim wizerunkowo. W Radiu Rebeliant w rozmowie z Joanną Prokop na temat bestialskich schronisk wypowiedział się lekarz weterynarii Radosław Fedaczyński z Fundacji Ada. Ta oskarżana jest o działalność skupiającą się na marketingu dla pomnażania zysków, a niekoniecznie poprawy dobrostanu podopiecznych. Krytycy, w tym środowiska przyrodnicze, podważają jakość opieki ośrodka nad zwierzętami. Strona „ADA-tak nie wypada!" demaskująca niezbyt dobre intencje organizacji zrzesza blisko 40 tys. członków. „Jeśli Polska zaczyna robić z tym porządek, reszta świata to widzi. Dlatego warto się zatrzymać i naprawdę to przemyśleć, zamiast reagować kolejnym oskarżeniem o lans czy ocieplanie wizerunku" – napisała Młynarska (1,6 tys. lajków).

Pytanie, czy styczniowa kulminacja afer poprawi psi los, czy ludzkie zasięgi, pozostaje otwarte.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 132b4b8a81

Wolność czy swoboda gangstera

Orwell w służbie Elona

Wszyscy gramy w tę samą grę, w której ktoś najpierw demonstracyjnie ma człowieka w dupie, a potem ogłasza to aktem emancypacji, nową kartą wolności, dziejowym przełomem i – obowiązkowo – postępem. Bez pytań, bez zasad, bez odpowiedzialności, bez zabezpieczeń. Jest za to algorytm. Algorytm wie o nas więcej niż matka, psycholog i klecha razem wzięci, zna nasze lęki, przyzwyczajenia i momenty słabości, i używa tej wiedzy w jednym celu: żebyśmy nie wstali od stołu, nie wyszli z aplikacji, nie złapali oddechu. A kiedy ktoś pyta: dlaczego to wszystko coraz mniej przypomina wolność, a coraz bardziej eksperyment na żywym organizmie społecznym, słyszy znajomą mantrę: nikt nikogo nie zmusza, to tylko wybór, to wolny rynek kliknięć – nawet jeśli ten wybór został zaprojektowany, wypchnięty emocją, dopalony strachem i starannie zmonetyzowany.

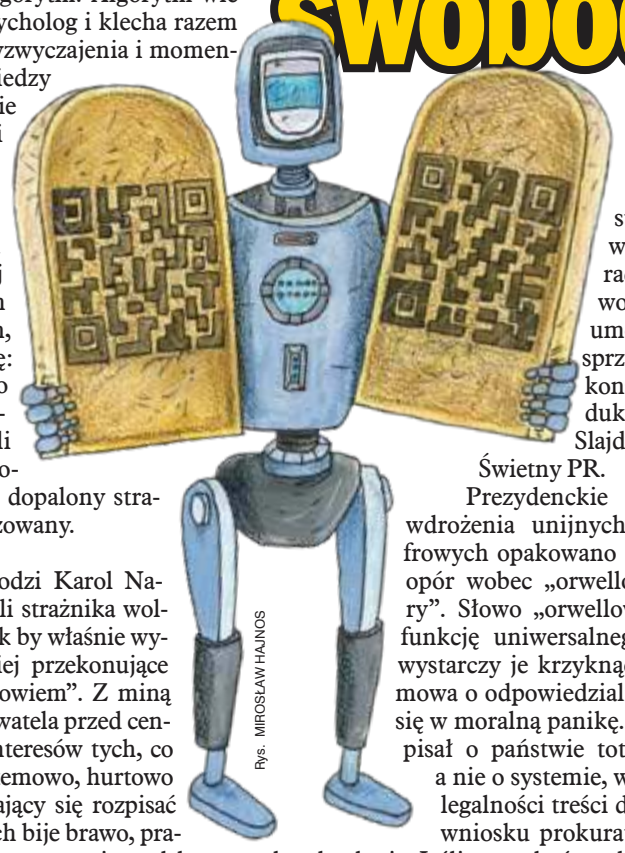
Rys. MIROSŁAW HAJNOS

I wtedy na scenę wchodzi Karol Nawrocki, cały na biało, w roli strażnika wolności, który wygląda tak, jak by właśnie wygrał konkurs na najbardziej przekonujące „nie znam się, ale się wypowiem". Z miną człowieka, który broni obywatela przed cenzurą, pilnuje w praktyce interesów tych, co człowieka mają gdzieś: systemowo, hurtowo i w sposób perfekcyjnie dający się rozpisać w arkuszach Excela. Big tech bije brawo, prawica kulturowa ociera łzy wzruszenia nad losem „kneblowanych poglądów", a gdzieś po drodze ginie pytanie najbardziej bezczelne i najbardziej potrzebne: czyja to właściwie wolność i kto za nią płaci – ciałem, psychiką i danymi. Bo jeśli wolność polega na tym, że korporacja może wszystko, państwo nic, a obywatel ma sobie radzić, to nie jest wolność. To jest umowa śmieciowa sprzedawana jako konstytucja. Produkt wizerunkowy. Slajd w prezentacji. Świetny PR.

Prezydenckie weto wobec wdrożenia unijnych regulacji cyfrowych opakowano jako heroiczny opór wobec „orwellowskiej cenzury". Słowo „orwellowski" pełni tu funkcję uniwersalnego straszaka – wystarczy je krzyknąć, a każda rozmowa o odpowiedzialności zamienia się w moralną panikę. Tyle że Orwell pisał o państwie totalnej kontroli, a nie o systemie, w którym o nielegalności treści decyduje sąd po wniosku prokuratury z prawem do odwołania. Jeśli to ma być totalitaryzm, to wyjątkowo biurokratyczny, senny i nudny, dobroduszny, bardziej przypominający wizytę w urzędzie niż apokalipsę. Zupełnie nie pasuje do prawicowych fantazji o Wielkim Bracie, który czai się w Brukseli i chce odebrać nam memy.

Wyobraź sobie noc w miasteczku, które nie pojawia się w raportach innowacyjności i nie ma własnego start-upu. Blok. Cisza. W kuchni stygnie herbata. Dziecko leży w łóżku z telefonem pod kołdrą, przewija bez końca, a algorytm – cierpliwy jak lichwiarz na dużym procencie – podaje mu kolejne „wysokoenergetyczne" treści: strach, wstyd, agresję, pornografię, teorię spiskową na deser. Nikt nikogo nie zmusza, jasne. Tak samo, jak nikt nie zmusza hazardzisty do otwierania drzwi kasyna. Tyle że system jest zaprojektowany dokładnie jak kasyno: ma zatrzymać uwagę, bo uwaga to pieniądz, a pieniądz to władza. I nikt, absolutnie nikt, nie zapytał tego dziecka o zgodę na bycie surowcem. Ciebie też nie pyta... dawco.

Tu zaczyna się prawdziwa opowieść o władzy cyfrowej arystokracji. Jeszcze wczoraj mówili: „My jesteśmy tylko platformą, nie chcemy moderować, niech zrobi to państwo". Neutralni jak jednoręki bandyta. Dziś, gdy regulacje zaczynają zaglądać do ich algorytmów i portfeli, słyszymy o zamachu na wolność. Tylko że to nie jest walka o sens słów i wartości. To jest walka o dane. O prawo do darmowego trenowania sztucznej inteligencji na naszych rozmowach, poglądach politycznych, seksualności, zdjęciach dzieci. O prawo do algorytmów, których im państwo nie skontroluje, a brak kontroli przynosi dywidendę.

Nieprzypadkowo prawica stała się koniem trojańskim tej operacji. Wojny o symbole i tożsamości doskonale zastępują konflikt klasowy, bo

zamiast pytać, kto zarabia na chaosie i polaryzacji, kłócimy się o to, czy algorytm jest lewacki. Algorytm nie jest lewacki ani prawacki. Algorytm jest chciwy. A jego chciwość jest dziś lepiej chroniona niż prawa obywatelskie.

Bankiety, spotkania, wykłady szefów korporacji dla polityków robią swoje – po nich mówi się już nie językiem wyborców, tylko językiem Doliny Krzemowej.

„Wolność słowa" bywa w tej historii kryjówką przemocy. Groźby, nękanie, kradzież tożsamości nagle mogą stać się tylko „kontrowersyjną opinią". A przecież wolność nie polega na tym, że silniejszy może więcej. Wolność polega na tym, że słabszy nie jest skazany na gangsterską swobodę bandyty i systemu, który z dumą członka gangsterskiej korporacji ma go gdzieś, a jednocześnie skrupulatnie liczy go jako zasób.

Na końcu tej historii stoi Ameryka – hegemoniczna, uśmiechnięta, z Donaldem Trumpem jako krzykliwym symbolem świata, w którym deregulacja jest religią, a państwo opiekuńcze herezją. Wolność według tej doktryny jest prosta: kapitał ma swobodę, reszta ma się dostosować. To wolny rynek uczuć, danych i lęków, na którym zawsze wygrywa właściciel stoiska. Albo krupier. Albo algorytm.

ANNA GRODZKA

Zapowietrzona czystość

Państwo polskie to już nawet nie kamieni kupa

Program Czyste Powietrze miał być wizytówką państwa PiS dbającego o obywatela. Dzięki kolejnym wtopom urzędników obecnej minister klimatu i środowiska Pauliny Henning-Kloski stał się przykładem, jak idealny projekt można zamienić w maszynkę do wyciągania publicznych pieniędzy. Idea była prosta: państwo dopłaca do termomodernizacji, wymiany pieców, ocieplenia ścian. Rodziny miały mieć cieplej, powietrze miało być czystsze, a rachunki – niższe.

Dusząca sprawiedliwość

Dziś w gabinetach prokuratorów leży sześć tysięcy wniosków z całej Polski dotyczących dotacji na łączną kwotę około 600 mln zł. W tle – podejrzenia oszustw, fałszerstw dokumentów, zawyżania kosztów, wymuszania pełnomocnictw i realizacji nieopłacalnych inwestycji.

Mechanizm był banalny. Do beneficjenta przychodził wykonawca – czasem podszywający się pod partnera programu – i oferował, że załatwi wszystko od A do Z. Klient podpisywał pełnomocnictwo, od tej chwili jego udział kończył się na cieszeniu się, że coś się robi.

Robiło się. Ale nie to, co trzeba. Wniosek o dotację składano na najwyższy możliwy poziom – 136,2 tys. zł. Zakres prac ustalano nie według potrzeb domu, ale według tego, co można było wcisnąć w ramy dotacji. Wymieniano okna tam, gdzie dach przeciekał, stawiano nowe piece w domach bez izolacji, naciągano koszty, fałszowano dokumenty, podpisywano oświadczenia w imieniu właścicieli. I wszystko to pod parasolem urzędniczej ślepoty. Aż do czasu.

Kiedy bowiem zaczęły się kontrole, okazało się, że z idealnego programu został tylko PR-owy trup. W co ósmej umowie wykryto nieprawidłowości. Tylko że to dane z mikroskopijnej próbki – kilka tysięcy skontrolowanych z blisko miliona realizacji. Efekt? Zamiast ścigać oszustów, państwo rzuciło się do gardeł beneficjentów. Bo łatwiej pociągnąć za nogawkę samotną emerytkę niż przebrnąć przez sieć firm krzaków, które już dawno przerejestrowały się na kolejne słupy.

Ponad 1400 osób musi dziś zwracać pieniądze. Często dziesiątki tysięcy złotych. I to nie wykonawcy, ale właśnie ci, którzy naiwnie myśleli, że program państwowy to coś, co rzeczywiście działa dla ludzi. Komornicy nie znają pojęcia „dobra wiara". Listonosze znają już na pamięć adresy tych samych ludzi, tylko teraz przynoszą nie decyzje o przyznaniu wsparcia, ale nakazy zapłaty.

„Myślałam, że program pomoże mi w końcu wymienić stary piec" – mówi pani Krystyna z Lubelszczyzny. „Teraz muszę oddać 31 tys. zł, bo dokumentacja nie została dostarczona w terminie". Nikt nie wspomniał, że termin się zmienił dwa razy, a pismo o tym przyszło miesiąc po jego upływie.

Pan Zdzisław z Dolnego Śląska został zmuszony do oddania 43 tys. zł, bo firma, która realizowała jego termomodernizację, „nie spełniła wymogów audytu". Tyle że audyt przeprowadzono dwa miesiące po zakończeniu inwestycji, a wtedy firma już nie istniała.

Urzędnicy mają gotowe tłumaczenia. Najlepsze są te, w których „wystąpił błąd proceduralny po stronie beneficjenta, który nie dopełnił formalności wynikających z aneksu do regulaminu załącznika nr 4 punkt 17 podpunkt c". Albo że „proces płatności jest uzależniony od pełnej zgodności dokumentacji z najnowszą interpretacją wytycznych wojewódzkiego funduszu, które są sukcesywnie aktualizowane".

Krótko mówiąc: coś się zmieniło w systemie, ale zapomnieli powiedzieć ludziom. Ich wina, że nie czytają na bieżąco Biuletynu Informacji Publicznej.

W sumie do budżetu ma wrócić 40,9 mln zł. Dla wielu rodzin, zwłaszcza najuboższych, to wyrok. Zwrot kilkudziesięciu tysięcy złotych oznacza wybór: spłacać dług czy ogrzać dom zimą.

Kontrole przeprowadzone w 2024 r. objęły 4656 beneficjentów. Nieprawidłowości stwierdzono w 12 proc. skontrolowanych umów. Wojewódzkie fundusze z całej Polski złożyły już 103 zawiadomienia do prokuratury, z czego najwięcej – 47 – w województwie kujawsko-pomorskim. Zgłoszenia wpływają też bezpośrednio od samych poszkodowanych.

Zator powietrzny

Nie wszyscy wykonawcy byli oszustami. „Opóźnienia narażają nas na ogromne trudności finansowe i zagrażają dalszemu funkcjonowaniu naszych firm" – napisał w liście do premiera jeden z przedsiębiorców.

Bo przedsiębiorcy, którzy realnie wykonali prace, dziś nie mogą doprosić się zapłaty. Czekają miesiącami, niekiedy ponad rok. Mają wystawione faktury, mają zakończone inwestycje, mają też rosnące zobowiązania. Ale nie mają przelewów.

„Mamy ponad 300 tysięcy złotych należności z tytułu wykonanych robót. Część tych pieniędzy miała iść na wypłaty, część na zakup materiałów. Zamiast tego mamy windykatora i widmo bankructwa" – mówi przedstawiciel jednej z firm z Podkarpacia.

Dlaczego tak się stało? Tłumaczenia urzędników zadziwiają swoją makabryczną przewrotnością. „Konieczność dogłębnej analizy wniosków przed wypłatą środków" brzmi, jakby te pieniądze miały ratować nie budynki, ale świat przed apokalipsą. Z kolei inna wersja mówi o „tymczasowym spiętrzeniu w procedurze weryfikacyjnej" – czyli zwykłym bajzlu, który urzędnicy nazwali procesem optymalizacyjnym. W praktyce ta „analiza" i ten „proces weryfikacyjny" oznaczają: brak przelewu, wiszące rachunki i zawieszoną działalność. W ten sposób uczciwe firmy, które miały być filarem rozwoju ekologicznego budownictwa, stają się ofiarami państwowej ignorancji.

To nie jest już problem biurokratyczny. To realne bankructwa, likwidacje miejsc pracy, dramat małych i średnich firm, które wierzyły w państwowy program, a dziś są zrujnowane.

Ostatnie tchnienie

Pod koniec 2024 r. rząd zawiesił nabór nowych wniosków. Nowa odsłona programu wystartowała w marcu. Zasady zmodyfikowano. Pieniądze trafiają na konto beneficjenta, a nie wykonawcy. Wprowadzono limity dotacji na poszczególne prace. Pełne dotacje są tylko dla rzeczywiście najuboższych. No i trzeba być właścicielem budynku od co najmniej trzech lat przed złożeniem wniosku.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Na papierze wyglądało to rozsądnie. W praktyce wszystko się posypało. Chętnych jest coraz mniej. Strach przed kontrolami i zwrotem pieniędzy skutecznie zniechęca tych, którzy faktycznie potrzebują pomocy. W okresie od kwietnia do września 2025 r. złożono zaledwie 33,8 tys. wniosków – to ledwie ułamek wcześniejszych lat.

Wymiana kopciuchów – czyli to, dla czego program powstał – wyhamowała z taką siłą, że osiągnięcie pierwotnych celów przestaje być realne. Przy obecnym tempie czyste powietrze możemy mieć dopiero za 35 lat.

Samorządy, które miały być naturalnym sojusznikiem rządu w walce ze smogiem, dziś coraz częściej mówią wprost: nie tak to miało wyglądać. „Nie możemy czekać do 2060 r. na czyste powietrze" – alarmują włodarze gmin zrzeszeni w Ogólnopolskim Porozumieniu Organizacji Samorządowych.

Związek Miast Polskich, Federacja Regionalnych Związków Gmin i Powiatów RP, Stowarzyszenie Gmin Górniczych w Polsce – wszystkie te organizacje podpisały wspólny apel do premiera. Wzywają do natychmiastowego uproszczenia procedur, zapewnienia finansowania i odblokowania mechanizmów, które umożliwią osobom o niższych dochodach dostęp do programu.

Prezydent Rybnika mówi wprost: „Z programu zniknęła logika wsparcia społecznego. Jest tylko biurokracja, uznaniowość, brak transparentności". Pełnomocnik prezydenta Krakowa ds. czystego powietrza dodaje: „Zwolnienie ekodoradców opóźni działania antysmogowe o całe lata".

Na liście zarzutów samorządów są zbyt skomplikowane procedury, brak jednolitych interpretacji przepisów, opóźnienia w wypłatach, zatory decyzyjne, brak mechanizmów prefinansowania dla najuboższych, a także zupełny brak stabilności prawnej. Program, który miał być stabilny i przewidywalny, dziś zmienia się z miesiąca na miesiąc. „Regulamin pisany pod nową edycję stosuje się do starej. To nonsens. To łamanie zasad państwa prawa" – mówią samorządowcy.

Prezydent Chełma podsumowuje: „Program miał ratować ludzi przed dymem i wysokimi rachunkami. A dziś firmy bankrutują, ludzie boją się wnioskować o wsparcie, a Polska traci czas, którego nie ma".

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl 132b4b8a81

Pamięta ktoś jeszcze, że mieszkanie miało nie być towarem?

Tośmy sobie nabudowali

„Sukces na miarę epoki", „milion mieszkań dla obywateli", „historyczna reforma, która zmienia Polskę" – tak brzmią komunikaty rządowe o programie budownictwa społecznego i komunalnego. Pieniądze wydane, projekty uruchomione, tysiące lokali w budowie. Ale gdy spojrzymy na liczby, które publikuje Główny Urząd Statystyczny i międzynarodowe analizy rynku nieruchomości, obraz rysuje się nijako.

Papierowy optymizm

Rząd przekonuje: „Na lata 2025 i 2026 zaplanowaliśmy łącznie 6,7 mld zł na wsparcie budownictwa społecznego i komunalnego". Liczba robi wrażenie, zwłaszcza w ustach polityków, którzy lubią operować wielkimi kwotami. I rzeczywiście, jeśli przyjąć średni koszt wybudowania jednego metra kwadratowego mieszkania dla potrzeb budownictwa społecznego na poziomie ok. 10 tys. zł brutto (co nie jest absurdem, biorąc pod uwagę koszty wykonawstwa i cenę materiałów budowlanych w miastach wojewódzkich), to 6,7 mld zł dawałoby teoretycznie nawet około 13 400 mieszkań o powierzchni 50 mkw. To liczba, która w logice komunikatów miała być rekordowa.

W tej narracji szczególnie optymistycznie i donośnie wybrzmiewały słowa wiceministra rozwoju Tomasza Lewandowskiego, który mówił: „Potrzeby mieszkaniowe są ogromne. Rząd kieruje się przede wszystkim w stronę tych osób, które były przez poprzednie ekipy pomijane – osób z tzw. luki czynszowej. Państwo wreszcie wzięło odpowiedzialność za mieszkalnictwo".

Jeszcze silniej wybrzmiewały jego zapowiedzi konkretów: „Będzie program społecznego budownictwa własnościowego realizowany przez SIM-y, TBS-y i spółdzielnie mieszkaniowe przy wsparciu finansowym Banku Gospodarstwa Krajowego. W 2026 r. przeznaczymy na ten cel rekordowe 4 mld zł, czyli 2 mld więcej niż w roku poprzednim".

Do tej nuty optymizmu dołączały oficjalne komunikaty rządowe, w których padały deklaracje o „historycznym wzroście środków na mieszkalnictwo" i „rekordowym budżecie". W niektórych wypowiedziach słychać było wręcz obietnicę mieszkaniowej prosperity: „Już niedługo zobaczymy wysyp tanich mieszkań publicznych, budowanych przez samorządy, SIM-y i państwowe spółki mieszkaniowe. To będzie realna alternatywa wobec rynku komercyjnego".

„Jeśli poziom wsparcia budownictwa komunalnego i społecznego zostanie utrzymany, w ciągu pięciu lat w Polsce może powstać ok. 100 tys. lokali dla osób, których nie stać na kredyt hipoteczny" – mówił mediom dyrektor Funduszu Dopłat BGK Przemysław Osuch. Wyliczenia sięgają nawet „ok. 26 tys. mieszkań komunalnych i społecznych w 2025 i 2026 r." dzięki pieniądzom państwowym i preferencyjnym kredytom, które mają wspierać inwestycje TBS-ów, SIM-ów i gmin.

Gdzie te mieszkania?

Ale zaraz, jeśli ministerstwo chwali się miliardami i „rewolucyjną skalą wsparcia", to gdzie są te budowy i gdzie są te mieszkania w faktach statystycznych? Rok 2025, jak pokazują dane GUS, nie jest rokiem boomu budowlanego, nawet pomimo zwiększonego budżetu na program społeczny. Od stycznia do listopada 2025 r. w Polsce zakończono budowę około 184,1 tys. mieszkań, czyli tylko o 3 proc. więcej niż rok wcześniej – wzrost symboliczny, daleki od hucznej ekspansji.

To dane obejmujące cały rynek – komercyjny, deweloperski i indywidualny. Ale kiedy patrzymy na rozpoczęte budowy, okazuje się, że GUS raportuje spadek ich liczby o około 8,5 proc. rok do roku w pierwszych dziewięciu miesiącach 2025 r. – mimo wcześniejszych nadziei na pobudzenie rynku. Może zatem zakończenia budów nieco rosną, ale rynek nowych inwestycji nie przyśpiesza, tylko zwalnia.

W praktyce wygląda to tak: mieszkań powstaje wiele, ale prawie całe spektrum budownictwa to sektor komercyjny i prywatny, który realizuje inwestycje z myślą o zysku, nie o dostępności lokali dla osób o niskich dochodach. Budownictwo społeczne i komunalne w najlepszym razie wznosi się punktowo. Statystyki GUS nie pokazują jednak, ile z tych 184,1 tys. mieszkań to obiekty służące właśnie celom społecznym, bo ta kategoria jest wciąż marginalna wobec całości.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

„Tylko w 2025 r. r Ministerstwo Rozwoju i Technologii przeznaczyło na ten cel 2,7 mld zł" – mówił Osuch, z wdziękiem podkreślając, że w poprzednich latach budżet Funduszu Dopłat sięgał ledwie miliarda złotych rocznie, co pozwalało na budowę 2–3 tys. lokali.

To brzmi pięknie, zwłaszcza że miesięcznie „wpływają wnioski po 300–400 mln zł". Ale tu trzeba postawić pytanie: ile z tych wniosków przekłada się faktycznie na miejsca budowy, fundamenty, materiały i robotników na placach budów? Mówienie o „zainwestowanych środkach" to jedno – a patrzenie na to, co się faktycznie buduje, to drugie.

„Wielkie liczby budżetowe wyglądają efektownie, ale proces inwestycyjny jest długotrwały" – twierdzą fachowcy. „Sam fakt zabezpieczenia środków w budżecie nie oznacza, że za chwilę powstaną kolejne bloki. Formalności, przygotowanie terenu i procedury przetargowe trwają miesiącami".

Rząd chwali się 26 tys. mieszkań, ale nie mówimy tu o mieszkaniach już oddanych do użytkowania. To raczej liczba potencjalnych jednostek, które mogłyby powstać przy założeniu, że proces inwestycyjny nie napotka żadnych opóźnień ani barier.

A życie pokazuje, że zawsze są przesunięcia, protesty, problemy środowiskowe i logistyczne. Jeśli oficjel z BGK mówi o 26 tys. mieszkań, gdy z rachunków wychodzi połowa mniej, to znaczy, że samorządy muszą dołożyć kolejne 6–7 mld zł. Skąd?

Niech zstąpi dotacja

Samorządy często podkreślają dobrą wolę – „chcemy budować, ale…". To „ale" ma bardzo realne oblicze: ograniczone kompetencje organizacyjne, długie procedury przetargowe, brak doświadczenia w dużych projektach deweloperskich. No i brak własnej kasy.

„My byśmy chętnie budowali więcej mieszkań komunalnych" – mówi jeden z burmistrzów średniej wielkości miasta – „ale system dotacji jest skomplikowany. Środki trafiają do BGK, potem trzeba spełnić szereg warunków, zanim zobaczymy je na koncie gminy".

Inny wójt, z małej gminy na północy Polski, dodaje: „Rząd mówi o wsparciu, ale samorządy muszą i tak zorganizować wykonawstwo, znaleźć finansowanie zastępcze, zabezpieczyć wkład własny i dopiero wtedy można mówić o realnym rozpoczęciu budowy".

Rząd lubi mówić o „rekordowym wsparciu". Ale jak wiadomo rekordy są po to, by je bić. A nie po to, by budować bloki mieszkalne.

Urzędnicy czekają, firmy szukają dojść, ceny rosną, a kolejka do tanich lokali tylko się wydłuża. Przemysław Osuch przyznał, że w styczniu 2026 r. rozdysponowana zostanie większość tego, co przyjdzie z budżetu, ale tylko dlatego, że już dziś w kolejce czekają wnioski na ponad 3 mld zł. Czyli połowa pieniędzy z kolejnego roku już została „wydana na papierze", zanim jeszcze fizycznie dotarła do funduszu.

Rząd chwali się, że w kolejnych latach pompowane będą jeszcze większe kwoty. Zgodnie z zapisami budżetowymi Fundusz Dopłat ma dysponować 5,6 mld zł w 2026 r., 6,86 mld zł w 2027 r., 8 mld zł w 2028 r., 9 mld zł w 2029 r. i 10 mld zł w 2030 r.

Wszystko to wygląda imponująco – przynajmniej do momentu, gdy ktoś nie zapyta o realną wartość tych pieniędzy w kontekście inflacji budowlanej, rosnących kosztów wykonawstwa i gigantycznych opóźnień proceduralnych. W branży mówi się otwarcie, że koszt budowy metra kwadratowego rośnie nawet o kilka procent rocznie. A to oznacza, że miliardy zapisane dziś na 2030 r. będą wtedy warte znacznie mniej niż dziś.

Na razie jednak – przy całej powadze miliardów i planów – statystyki budownictwa mieszkaniowego w Polsce pozostają chłodne i pokazują, że sukces, owszem, jest możliwy, ale wciąż odległy od hucznych deklaracji.

TOMASZ BOROWIECKI

życie W DOBROBYCIE

● Gdyby Emil Zola pisał dziś „Germinal", akcję spokojnie mógłby umieścić nie w XIX-wiecznej kopalni, ale na zapleczu jednego z marketów Dino. Jednej z największych i najbardziej dochodowych sieci handlowych w kraju. W 2024 r. spółka wypracowała ponad 1,5 mld zł zysku. Inwestorzy kiwają głowami z uznaniem, a właściciel firmy okupuje wysokie miejsca na listach najbogatszych Polaków. Ale kiedy pracownicy mówią „900 zł podwyżki", odpowiedź brzmi: „nie". Taka kwota dla ludzi oznaczałaby, że zamiast 1,5 mld zł zysku, Dino zarobiłoby „tylko" około 1 mld. Zarząd spółki nie stawia się na zaplanowanym spotkaniu ze związkami zawodowymi w ramach procedury sporu zbiorowego. Do prokuratury trafiło zawiadomienie dotyczące możliwości naruszenia ustawy o związkach zawodowych, w tym nieudostępniania dokumentów niezbędnych do prowadzenia działalności związkowej. Państwowa Inspekcja Pracy została z kolei poinformowana o zastrzeżeniach dotyczących jakości posiłków w magazynach, potencjalnych naruszeń prawa pracy i BHP oraz wytycznych zarządu, które mają ograniczać korzystanie z urlopów w sezonie letnim. Postulaty nie brzmią jak rewolucja. 900 zł podwyżki, Zakładowy Fundusz Świadczeń Socjalnych, więcej rąk do pracy w sklepach i magazynach, przestrzeganie zasad BHP. Czyli rzeczy, które w XXI w. w Unii Europejskiej powinny być normą, a nie fanaberią. Tymczasem w Dino brak funduszu socjalnego, bonów świątecznych, dopłat do wypoczynku, zapomóg w trudnych sytuacjach życiowych. Wynagrodzenia niewiele wyższe od płacy minimalnej. Do tego warunki pracy, które bardziej przypominają chłodnię niż nowoczesny handel. Pracownicy mówią o 19 st. C w sklepie, 15 przy chłodniach i podobnych temperaturach w pomieszczeniach socjalnych. Na tym tle wyniki finansowe Dino wyglądają jak ponury żart. Inwestorzy to widzą. Kurs akcji Dino potrafi w jeden dzień spaść o kilka procent, co oznacza miliardy złotych mniej w wycenie spółki. Oficjalnie nikt nie mówi, że to przez spory pracownicze, ale trudno nie zauważyć, że problemy wewnętrzne firmy zaczynają przebijać się na zewnątrz.

● Jeśli ktoś miałby dziś budować dom jednorodzinny, to powinien najpierw postawić nie fundamenty, lecz ołtarzyk. Ostatnie lata na rynku domów prywatnych można określić słowem turbulencje. Najpierw pandemia, potem budowlany szał z 2021 r., a zaraz po nim brutalne hamowanie w postaci podwyżek stóp procentowych i galopujących cen materiałów. Gdy kredyty zaczęły tanieć, a ceny pustaków i stali przestały rosnąć z tygodnia na tydzień, państwo postanowiło dorzucić coś od siebie. Reformę planowania przestrzennego. Efekt? Zalew urzędów wnioskami o warunki zabudowy, czyli słynne WZ-ki. Władza zareagowała po swojemu. Zamiast uprościć procedury albo wzmocnić urzędy kadrowo, zaproponowała zniesienie kar za nieterminowe wydawanie decyzji. Ustawa przewiduje zawieszenie kar aż do końca 2026 r. Terminy na wydanie WZ-ek – 90 dni, a w przypadku domów do 70 mkw. 21 dni – mają zacząć biec od nowa dopiero 1 stycznia 2027 r. Wcześniejsze terminy zostaną przerwane. Uzasadnienie jest proste: urzędy są zawalone robotą. Dane GUS pokazują, że w 2024 r. liczba wydanych decyzji o warunkach zabudowy wzrosła o 27 proc. w porównaniu z 2023 r. W ponad 330 gminach wzrost wyniósł od 50 do 100 proc., a w prawie 200 gminach przekroczył 100 proc. Co ciekawe, ten urzędowy potop wcale nie przełożył się na masową budowę domów. Rewolucji nie ma. W pierwszych trzech kwartałach 2025 r. liczba pozwoleń na domy prywatne wzrosła zaledwie o 7,6 proc. Owszem, wiosna i lato przyniosły pewne ożywienie, ale bez fajerwerków. Bo ludzie nie rzucili się masowo do budowy. Część zdobyła warunki zabudowy na wszelki wypadek, a decyzje leżą w szufladach. Państwo widzi więc problem, po czym stwierdza, że skoro nie daje rady, to po prostu zdejmie z siebie odpowiedzialność. Urząd nie zdąży? Trudno. Kary nie będzie.

● Śmierć w Polsce jest demokratyczna. Różnice zaczynają się dopiero, gdy trzeba za nią zapłacić. I wtedy państwo wkracza, żeby pomóc. Od 1 stycznia 2026 r. zasiłek pogrzebowy wzrósł z 4 tys. zł do 7 tys. zł. Rząd chwali się, że po 15 latach wreszcie coś zrobił. Zasiłek pogrzebowy przysługuje temu, kto poniósł koszty pogrzebu. Może to być członek rodziny, pracodawca, dom pomocy społecznej, gmina, powiat, osoba obca, a także osoba prawna Kościoła lub związku wyznaniowego. Czyli – mówiąc wprost – niemal każdy. O ile ma fakturę. Jeśli koszty ponosi członek rodziny, dostaje pełną kwotę – dziś 4 tys. zł, a od 2026 r. 7 tys. zł niezależnie od tego, ile faktycznie zapłacił. Jeśli płaci ktoś inny, zasiłek przysługuje „do wysokości poniesionych kosztów", ale nie więcej niż ustawowy limit. Gdy płaci kilka osób lub podmiotów, pieniądze są dzielone proporcjonalnie. Dokumentów sporo. Wniosek Z-12, akt zgonu, rachunki, zaświadczenia, dokument tożsamości. Wszystko trzeba złożyć w ciągu 12 miesięcy od śmierci. A jeśli się nie dało, to od dnia pogrzebu. Rząd dorzucił jeszcze pakiet deregulacyjny. Co do zasady ZUS nie będzie wydawał decyzji, chyba że pieniądze trzeba podzielić albo gdy koszty poniosła osoba spoza standardowej listy. I w tym wszystkim jest jeden drobny szczegół, o którym nikt głośno nie mówi. Otóż te 7 tys. zł nie trafi do kieszeni rodziny. One trafią tam, dokąd i tak trafiały. Na cmentarz. A cmentarz w Polsce w 95 proc. należy do Kościoła. W praktyce oznacza to, że państwo podniosło zasiłek, ale nie zmieniło systemu. Nadal nie można w Polsce po prostu rozsypać prochów zmarłego za darmo. Nadal trzeba zapłacić za miejsce, za ceremonię, za utrzymanie, za kolejne opłaty administracyjne. A zakłady pogrzebowe muszą się działkować z właścicielem terenu. Czyli z Kościołem. Zamiast realnie obniżyć koszty pochówku, zgadzając się na rozsypywanie prochów, rząd – jak każdy przed nim – robi dobrze klerowi.

● Rząd udaje, że walczy z ubóstwem, a najbiedniejsi Polacy udają, że biedni nie są. Bo – jak trafnie zauważa dr hab. Ryszard Szarfenberg – „polityk, który mówi o biednych, ryzykuje tym, że sami zainteresowani poczują się obrażeni albo uznają, że mowa o kimś innym". Wstyd ma w Polsce krótką nazwę: MOPS. W świadomości przeciętnego Polaka pomoc społeczna kojarzy się jednoznacznie negatywnie: z biedą i niezaradnością. W Niemczech czy na Islandii ludzie tracą pracę, idą po zasiłek i traktują to jak chwilę oddechu. U nas nie bardzo, bo polski zasiłek dla bezrobotnych to około 1300 zł przez pierwsze trzy miesiące, a potem nieco ponad 1000 zł przez kolejne trzy. Państwo, zamiast poprawić system, zmienia szyld. MOPS ma się przeobrażać w centrum usług społecznych. Ładniej brzmi, mniej wstydliwie, bardziej jak miejsce, do którego idzie się po usługę, a nie po jałmużnę. Tyle że takich centrów mamy około 160, a gmin w Polsce jest prawie 2,5 tys. Mamy 1,9 mln osób żyjących w skrajnym ubóstwie, czyli poniżej minimum egzystencji, czyli żyjących w pojedynkę za mniej niż 950 zł netto. Ale z tej grupy tylko połowa kwalifikuje się do pomocy społecznej według ustawowych kryteriów dochodowych. Czyli mamy milion ludzi, którzy są „zbyt bogaci" na pomoc, choć żyją w skrajnej nędzy według GUS. Bo nie ma mechanizmu stałej waloryzacji kryteriów dochodowych. I tak kręci się to nasze udawanie. Rząd udaje, że walczy z ubóstwem. Zmienia szyldy, opowiada o usługach, obiecuje reformy, czasem coś dosypie, ale pilnuje, żeby kryteria nie nadążały za inflacją.

TTJ

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 132b4b8a81

Cichy pontyfikat

Dobry człowiek, ale zły papież

Nie wiem, czy zauważyliście – a właściwie jestem pewien, że nie zauważyliście – że pontyfikat Leona XIV trwa już siedem miesięcy. Można by pomyśleć, że papież się zawiesił. O Leonie jest raczej cicho w przeciwieństwie do jego rodaka Trumpa, obecnie najważniejszego człowieka na Ziemi, Wszechziemi i Metaziemi. Ten przynajmniej jest widoczny na trzech wysokościach każdego ekranu. W nagłówku, w reklamie i w komentarzu z Ukrainy. Codziennie bombarduje nasze receptory medialne kolejnym „Make America Whatever Again". Nie miejmy złudzeń – nasze umysły mają ograniczoną pojemność na amerykańskie figury władzy, i w tym rozdaniu jeden Jankes wystarczy. Wybór padł na tego, który wrzeszczy.

Keczua zamiast łaciny

No i jest jeszcze jeden powód, dla którego polski episkopat milczy, gdy w Watykanie zmienia się lokator: głęboka narodowo-mistyczna niewyleczona trauma po śmierci Jana Pawła II. Choć od tego wydarzenia minęło już 21 lat, po papieżu Wojtyle nie było żadnego następcy – tylko wakat duchowy:

– Benedykt XVI? Technokrata z Hitlerjugend (dewiza: *Gott mit uns*),

– Franciszek? Komunista z Buenos Aires,

– Leon XIV? Brzmi jak nazwa nowego modelu czołgu. Nieprawdaż?

Episkopat polski do dziś złożony jest z biskupów formowanych w epoce VHS i kremówek. Oni pamiętają tylko jednego papieża. Papież musi być Polakiem. Musi mieć głos jak z Radia Maryja, umiejętność obsługi ołtarza polowego na stadionie oraz całowania lotniska.

A tu Leon XIV! Hamburger w piusce. Kowboj w liturgicznym sombrero! Chodząca reklama Coca-Coli Zero! I co najgorsze, augustianin! Toż to niemal protestant, z zakonu Lutra! I jeszcze ten jego peruwiański epizod życiowy. Spędził pół życia wśród ubogich w slumsach Limy, mówi w języku keczua, czyli może jakiś inkaski szaman? Nie wiadomo, czego się spodziewać. Amerykanie, wiadomo, to wariaci – a niech wprowadzi do obrządku kukurydzianą hostię, a wino mszalne zastąpi yerba mate!

W takiej sytuacji to całkowicie zrozumiałe, że purpuraci dystansują się od jegomościa. Jesteśmy już dawno narodem po rozwodzie z Watykanem. Dlatego z poczucia duszpasterskiego obowiązku przybliżę, czym się Leon XIV tak właściwie zajmuje. Bo w „Gościu Niedzielnym" o tym nie przeczytacie, a „Nasz Dziennik" w ogóle udaje, że nie było konklawe.

Start pod prąd

W życiu każdego, kto wstępuje na tron – czy to Piotrowy, czy polityczny – znacząca jest tak zwana pierwsza wizyta. Symbol, ustawienie wektora. Mały gest z wielkim komunikatem: „patrzcie, do kogo najpierw pojechałem, to znaczy, kogo naprawdę kocham".

No i wiecie, dokąd Leon XIV, a właściwie Robert Francis Prevost udał się w swoją pierwszą papieską podróż zagraniczną? Uwaga, trzymajcie stuły – do Turcji i Libanu. Boże, widziałeś i nie zagrzmiałeś! Turcja? Kraj, w którym katolicy stanowią 0,04 proc. populacji na 85 mln mieszkańców. A Liban? Tam przynajmniej katolicy są, owszem, ale następujących rytów: maronici, melchici, syriacy i łacinnicy. Mhm?

Ilustr. PAWEŁ FERENC

A po co Leon XIV pojechał do Turcji? Żeby uczcić 1700. rocznicę soboru nicejskiego, który odbył się w roku 325 n.e.!? Od tego czasu odbyło się jeszcze innych 21 soborów powszechnych, w tym watykański II, dzięki któremu ksiądz nie mamrocze już wyłącznie po łacinie i nie odprawia mszy plecami do wiernych.

Podejrzenie jest zatem takie, że jego sztab się pomylił, a potem dorobiono do tej pomyłki legendę. Zarezerwowano bilety do Nicei w Turcji, myśląc, że chodzi o Niceę we Francji. Gdy samolot wylądował w Nicei – tej od Soboru Nicejskiego – czyli w azjatyckiej części Turcji, było już za późno. Błąd! Francja pomylona z Azją Mniejszą. Klasyczna ignorancja geograficzna rodem z seminarium duchownego w Chicago. Ale Watykan nie przyznał się do pomyłki, więc ogłoszono rocznicę.

W Turcji Prevost spotkał się z prezydentem Erdoganem, islamskim fundamentalistą, który przekształcił Hagia Sophia – niegdyś jedną z najważniejszych świątyń chrześcijaństwa, dawną bazylikę Konstantynopola, a ostatnio muzeum – w meczet. Nie w harem, co warto odnotować. Erdoğan nie ukrywa, że najchętniej przeniósłby niedzielę na piątek, bo tak mu się złożyło w porządku islamskim.

Leon odwiedził także mauzoleum Mustafy Kemala Atatürka. Dobrze zatem, że nie pojechał do Moskwy, bo pewnie prosto z peronu trafiłby do Mauzoleum Lenina. Przecież wszyscy turyści tak robią, prawda? Mogłoby mu nawet przyjść do głowy, żeby zapalić świeczkę. Papież w Turcji uniknął odwiedzin w jakiejkolwiek działającej katolickiej parafii, co w kraju, gdzie katolicy stanowią cztery promile populacji, nie było zresztą trudne.

Licencja na oczywistości

Papież Leon również przemawia w sposób właściwy dla małego dziecka: szczerze, prosto z serca, choć nie prostacko – trzeba mu to oddać. Ten styl rodzi u mnie niepokój poznawczy, a wręcz egzystencjalny zgrzyt: jak pogodzić do-

Diabeł ubiera się u Prady, egzorcysta – u Armaniego

Hiob jak dąb

Uwagę zwracały szyty na miarę garnitur, wymuskana przez barbera broda oraz okulary w oprawkach Armaniego. Pod pachą książka „Rowerem przez II RP" zamiast brewiarza. Można było odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z jakimś deweloperem, do czego w sumie mu blisko.

Za nami pierwszy akt procesu ks. Michała Olszewskiego zwanego pieszczotliwie Salcesonem. Pseudonim ów, brzmiący niczym ksywy sławnych gangusów jak „Kiełbasa" czy „Baranina", nie wziął się wbrew pozorom od jego działalności w półświatku, choć prokuratura zarzuca mu udział w zorganizowanej grupie przestępczej. Olszewski złożył śluby w zakonie sercanów, stąd wyroby podrobowe są mu szczególnie bliskie. Salcesonem – jak sam wspominał w książce „Być jak Hiob. Doświadczenie Boga w kryzysie" – wyganiał ducha wegetarianizmu i aktywizmu ekologicznego.

Trauma

Pierwsza rozprawa zakończyła się niczym. Nie odczytano nawet aktu oskarżenia. Obrona księdza wypominała, że skład ławników zmienił się zaledwie półtora tygodnia przed rozpoczęciem procesu, a do przeczytania jest 240 tys. stron akt. Proces jest więc do unieważnienia – twierdzą adwokaci. Kolejne rozprawy mają być co tydzień. Oprócz księdza na ławie oskarżonych zasiadły dwie byłe urzędniczki ministerstwa sprawiedliwości i trzy inne osoby. Oskarżenie dotyczy dotacji z Funduszu Sprawiedliwości dla prowadzonej przez zakonnika Fundacji Profeto. Według prokuratury fundacji przyznano łącznie 98 mln zł, z czego wypłacono ponad 66 mln – niesłusznie i niezasłużenie.

Dzięki procesowi ks. Michała dowiedzieliśmy się, że walka z diabłem jest mniej stresująca niż współpraca z PiS-em. Olszewski – zanim związał się z ziobrystami – parał się egzorcyzmami. Nie było lekko: raz musiał walczyć z demonem wegetarianizmu, innym razem – Harry'ego Pottera. Dzielnie dawał radę, a swoje batalie opisywał w licznych książkach, wywiadach i kazaniach. Te opowieści przyniosły mu popularność i rozpoznawalność. Na jej fali postanowił zbudować własne miniipmperium medialne i wtedy trafił na dysponentów Funduszu Sprawiedliwości. To był początek jego końca. Mec. Krzysztof Wąsowski, obrońca duchownego (a w zasadzie jeden z), twierdzi, że jego klient cierpi na zespół stresu pourazowego, co uniemożliwia mu uczestnictwo w takich imprezach jak rozprawy sądowe. Stąd wniosek, że lata obcowania z szatanem face to face są mniej traumatyczne niż konszachty z kaczystami.

– On chciałby się ukryć i nie mieć z nikim kontaktu. To jest bardzo duża konsekwencja tego, co go spotkało – mówił jego adwokat w Radiu Wnet. Znamy to z przypadków Ziobry i Romanowskiego, z tym że oni ukryli się skutecznie. Mimo cierpień natury psychicznej i zapowiedzi mec. Wąsowskiego 21 stycznia Michał Olszewski pojawił w budynku Sądu Okręgowego w Warszawie. Czekały na niego tłumy wiernych fanów, zaopatrzonych w różańce, święte obrazki i gardła nawykłe do wielogodzinnych deklaracji poparcia i oburzenia. Były śpiewy: „Ojczyzno ma, tyle razy we krwi skąpana" i inne patriotyczne oraz religijne zawodzenia. Zebrani byli święcie przekonani, że Olszewski jest święty, a sądowa farsa to intryga przeklętych bodnarowców, którzy wyewoluowali w żurkowców i samego Niemca Tuska.

Ksiądz, ale pan

– Jeśli sędzia zwraca się do księdza „pan Michał Olszewski", to trąci mi to czasami bardzo słusznie minionymi, ale wracającymi – pieklił się na antenie TV Republika poseł Dariusz Matecki. W tym przypadku ma trochę racji, kierując uwagę na profesję „Salcesona". Gdyby nie to, że jest postacią powszechnie znaną, można by było odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z cywilem. W ogóle nie przypominał Hioba, o którym pisał, ani kapłana, którym jest.

Sędzia powinna na każdym kroku powtarzać, że Michał Olszewski to rzymskokatolicki ksiądz, żeby nie było wątpliwości, kto zacz. To jako przedstawiciel handlowy Pana Boga zrobił karierę i jako taki powinien zachować się w powszechnej świadomości.

Na fakt zeświecczenia księdza Michała zwrócił uwagę jego kolega z firmy, popularny niegdyś ks. Wojciech Lemański. „Księże Michale, czemu bez habitu, bez kapłańskiej koloratki? Wszystkie media donoszą o tym procesie. Jedni są po księdza stronie, inni przeciw. Ale to jest proces księdza. Te zdjęcia pójdą w świat. Prymas Wyszyński cały czas internowania odbył w kapłańskiej sutannie. A ksiądz wstydzi się sutanny? Są dwie możliwości. Albo jest ksiądz niewinny i wtedy należy w kapłańskim stroju, z podniesioną głową, bronić się przed fałszywymi zarzutami. Albo... po cywilu, milcząc, przyznać się do winy. Ale wtedy to dopiero da ksiądz plamę" – napisał zaczepnie w mediach społecznościowych.

Obrońcy pana księdza Michała – zarówno zawodowi, jak i amatorscy – nie widzą niespójności w prowadzeniu się Olszewskiego. Ten starannie wystylizowany fircyk ni w ząb nie przypomina męczennika, ale w przekonaniu swoich zwolenników nim jest. Dużo gorzej wyglądał po wyjściu z aresztu, ale widocznie taki już jest, że nie może sobie darować pokazania się. Na coś w końcu przez te lata pracował i go stać. Z domu też biedny nie jest, choć ojciec ojca Michała także ma ostatnio kłopoty: w grudniu ubiegłego roku usłyszał zarzuty udziału w zorganizowanej grupie przestępczej, wyłudzania VAT i wystawiania fałszywych faktur.

Trzydzieści trzy do Zera

Sprawa sięga wyżyn politycznych. Okazuje się, że wątek egzorcysty był jednym z kluczowych w prezydenckiej odmowie awansów dla oficerów służb specjalnych. Według Arlety Zalewskiej z TVN24 temat ten został poruszony podczas spotkania Nawrockiego z Siemoniakiem i Kosiniakiem-Kamyszem. – Prezydent miał stanowczo powiedzieć: nie będę awansował, nie podpiszę nominacji dla funkcjonariuszy, którzy – to cytat, jaki usłyszałam – „torturowali księdza Michała Olszewskiego". Takie stanowisko wygłosił prezydent, w odpowiedzi usłyszał długie tłumaczenie, że ksiądz nie był torturowany, że funkcjonariusze wykonywali swoje obowiązki, że nie mieli za plecami żadnych politycznych nacisków – relacjonowała dziennikarka w „Podcaście politycznym". Olszewski ma zapewnione miejsce w kolejce do ułaskawienia przez Karola Nawrockiego. Jest jednak pewien szkopuł: mec. Krzysztof Wąsowski gdyba, że proces ks. Michała może potrwać nawet 10 lat, a więc zakończenie przewiduje na czasy po ewentualnej drugiej kadencji Nawrockiego. Chyba że przewidują, iż przejmie on władzę już na stałe, gdy wprowadzą nową konstytucję.

Oprócz talentów egzorcystycznych ks. Olszewski – jak każdy święty – posiada także inne charyzmaty, co poświadczył osobiście sam Zbigniew Ziobro. 33 wizyty w gabinecie ministra sprawiedliwości – tyle odnotowano w materiale dowodowym, choć panowie zapewniają, że nie znali się zbyt dobrze. Węgierski azylant wytłumaczył to następująco: – Ksiądz Olszewski przychodził do mnie kilkakrotnie w sprawie interwencji związanych z osobami, które są pokrzywdzone przez przestępstwa i prosił o działanie. Inni księża też przychodzili, a z tego co wiem to chyba hurtem wszystkich wpisano jako „ksiądz Olszewski".

Nie ma przypadków, są tylko znaki. 33 lata żył Chrystus, trójka to liczba doskonała – Trójca Święta się kłania. Wizyty „Salcesona" cudownie się rozmnożyły, karmiąc także innych klechów. Jeżeli to nie przekona niedowiarków, to już chyba nigdy nie przejrzą na oczy. Miejmy nadzieję, że przynajmniej sąd weźmie to pod uwagę.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Ilustr. KROKODYL

eprasa.pl 132b4b8a81

stojeństwo papieża z dziecinadą jego wypowiedzi? No bo zobaczmy. Cytat* pierwszy: „Traktowanie migrantów jest skrajnie niegodne” – zgadnijcie: papież to czy nauczycielka propedeutyki o społeczeństwie w pierwszej klasie gimnazjum?

Lecimy dalej: „Niech pokój będzie z wami wszystkimi” – no wieeeelkie dzięki. Tak jakby ktokolwiek chciał, żeby pokój był tylko z połową z nas.

Kolejny klasyk: „Chrystus jest naszym Zbawicielem i w Nim jesteśmy jedno, rodziną Bożą” – no cóż, ktoś to w końcu musiał powiedzieć. Tylko że z taką samą głębią spotkać się można w pierwszym rozdziale każdego podręcznika do nauki religii albo na kubku w sklepiku z dewocjonaliami.

Moment kulminacyjny refleksji geopolitycznej Leona XIV: „Zasada, która po II wojnie światowej zabraniała państwom używania siły do łamania granic innych państw, została całkowicie podważona” – cóż za objawiona przenikliwość! Gdyby jeszcze dodał: „A wojna jest zła, a bomby robią bum”, można by wydać jego przemówienia w formie papieskiej encykliki dla początkujących dyktatorów.

Leon XIV nie mówi jednak tylko do ONZ-u. Mówi także do nas, zwykłych ludzi: „Sprawdzoną receptą na szczęśliwe życie jest życzliwość”. Tłumacząc to na język ulicy: „Uśmiechnij się – jutro będzie lepiej”. A pojutrze to już w ogóle raj na ziemi. Katolicka wersja hasła „Bądź miły i pij wodę”.

I wreszcie armata miłości nowego duchowego marketingu: „Bądźcie siewcami dobrych słów”. Coaching dla ubogich w duchu i w dochodach. Jakby połączyć kazanie na górze z kursem rozwoju osobistego u Jacka Santorskiego.

No niestety, papież przemawiał również do dziennikarzy, co zauważył nawet Onet.pl, bo najwidoczniej pracują tam jeszcze jacyś dziennikarze. Co powiedział? Ano to: „Sposób, w jaki się komunikujemy, ma fundamentalne znaczenie. Musimy mówić »nie« wojnie słów i pamiętać o odpowiedzialności wobec sztucznej inteligencji”.

Oho! „Odpowiedzialność wobec sztucznej inteligencji”! Nowe teologiczne terytorium. Człowiek może odczuwać odpowiedzialność wobec Boga, natury, historii, dzieci, bliźnich, republiki, konstytucji… ale wobec procesora na krzemie, czyli tego samego materiału, z którego składa się plaża w Ustce?

Może papieżowi chodziło jednak o naturalną, przyrodzoną inteligencję wykonaną z białka, daną każdemu człowiekowi w różnym stopniu i jakości. Tyle że gdyby miał na myśli tę inteligencję, to powiedziałby zapewne „używajcie jej”, a nie „bądźcie wobec niej odpowiedzialni”.

Ale dobrze. Leon XIV postanowił też kopnąć w kostkę Onet, dając do zrozumienia, co sądzi o stanie współczesnego dziennikarstwa. Zaapelował, by nigdy „nie ulegać pokusie banału”.

No, no. Pokusa banału jest zarezerwowana dla papieża. On może. On może mówić, że pokój jest dobry, wojna jest zła, migranci to ludzie, a prawda powinna być prawdziwa. A dziennikarz ma zakaz, bo byłoby to zawłaszczanie papieskich kompetencji. Papież ostrzega przed banałem. Robiąc to przy pomocy... banału.

Twierdza prawdy w fabryce cudów

Ale naprawdę najgorsze z punktu widzenia polskiego episkopatu jest to, czego Leon XIV nie mówi. I to jest doprawdy obrzydliwe.

Leon XIV to papież, który chce być miły. W Polsce nie jesteśmy gotowi na miłego papieża. My chcemy papieża, który bije w stół, wzywa do pokuty narodowej, wskazuje palcem wrogów, ostrzega przed szatanem w tęczowych trampkach i domaga się podatku od grzechu oraz ulgi na różaniec. A tu wyskakuje jakiś eufemista, który mówi półgębkiem: „doktryna Kościoła »w tych« sprawach »prawdopodobnie« nie ulegnie zmianie, ale jednocześnie istnieje konieczność otwartości i szacunku wobec każdej osoby”. Znaczy Kościół będzie dalej uważał, co uważa, ale nie wypada już na nikogo wrzeszczeć. Skandal!

Eminencje słuchają niesłyszalnego z przerażeniem. Papież milczy w sprawach, które w Polsce uznaje się za najważniejsze: aborcja, osoby LGBT, gender, satanizm w Biedronce. On nawet nie powiedział, że „aborcja to morderstwo” ani że „Europa to dziś neopogańska Sodoma”, ani że „duszpasterstwo nie polega na tolerowaniu grzechu”. Jak on mógł, a w zasadzie – jak on mógł nie móc?

A w finale Leon XIV strzela sobie w stopę. Ogłasza uroczyście: „fake newsy to problem współczesnej komunikacji”, po czym z pełną powagą imputuje, że jedynym pewnym źródłem prawdy o nim samym i o świecie są źródła watykańskie.

Taaak, Watykan, imperium cudów i sekretów, jako ostatnia twierdza prawdy... Przecież to stamtąd płyną od dwóch tysięcy lat historie sprzeczne z doświadczeniem, nauką i zdrowym rozsądkiem: chodzenie po wodzie, wskrzeszanie trupów, dziewicze poczęcia, wniebowzięcia, rozmnażanie ryb i nieomylność ludzi w kapeluszu.

Fake newsy z Watykanu były, zanim jeszcze wynaleziono atrament. Problemem nie jest więc nieprawda sama w sobie, tylko to, kto ją produkuje i kto ma wyłączność na jej rozsyłanie.

Ale Leon najwyraźniej naprawdę wierzy, że Łazarz zmartwychwstał, trędowaty ozdrowiał od dotyku, a papież to nie tylko namiestnik Boga, ale i jego rzecznik prasowy.

Nie wróżę temu pontyfikatowi owacji na stojąco po każdej homilii ani pomników w każdej polskiej wiosce. Z punktu widzenia Kościoła trudno zgadnąć, co z tego wyniknie. Bo problem Kościoła polega na tym, że tak bardzo zabiega o swoje (głównie materialne) interesy, że wchodzi w układy z władzą nałogowo. Traci tym samym autentyczność, niezależność i autorytet.

Pewnie liberalizm Leona mógłby odwrócić tę tendencję, ale jest ryzyko, że to się nie przyjmie. Koncepcja równowagi, porozumienia centrum, kongresu liberalno-demokratycznego – to w Polsce nie przeszło. Liberalizm w Kościele? To jak wódka bez alkoholu. Polacy wolą skrajności. Umiarkowanie? To dla mięczaków. U nas trzeba krzyczeć, straszyć i dzielić. Kościół to lubi. Dlatego zamiast być duchowym drogowskazem, wolą być sędziami i katami. Wolą papieża na czele krucjaty niż przy stole negocjacyjnym. Amen.

ROBERT JARUGA

*) Cytaty papieża Leona XIV przytaczam tak, jak przechwyciły je media światowe, czyli być może nieco skrócone, przefiltrowane przez tłumaczy, redaktorów i algorytmy Google Translate, ale zachowując sens. A jeśli ktoś mimo wszystko domaga się dosłowności, interpunkcji papieskiej oraz przecinka w duchu soboru trydenckiego, to Watykan jak zwykle służy pomocą. Proszę kierować się na oficjalną witrynę Stato della Città del Vaticano: vaticanstate.va/it. Z góry ostrzegam: zero memów, sam PDF i Duch Święty między wierszami.

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Warszawski ratusz opublikował listę nowych propozycji projektów do budżetu obywatelskiego na przyszły rok. Jeden z nich – zatytułowany Pomnik Chrztu Polski na Placu Zbawiciela – zakłada wzniesienie w centralnym punkcie placu monumentalnego krzyża. Autorzy wniosku przekonują, że jubileusz chrztu kraju nad Wisłą to idealna okazja, by przypomnieć o historycznych fundamentach polskiej państwowości. Na tę okoliczność we wniosku znalazł się zapis o kategorycznej konieczności całkowitego i trwałego demontażu instalacji Łuk LGBT+, która jako wygrana poprzedniej edycji BO ma się pojawić na Pl. Zbawiciela w czerwcu bieżącego roku. Etap merytorycznej oceny zgłoszonych pomysłów zakończy się w kwietniu. Urzędnicy zadecydują, czy projekt zakładający zniszczenie instalacji o wartości 700 tys. zł, żeby postawić krucyfiks za 2,5 bańki, będzie zgodny z zasadą gospodarności.

✚ Komenda Miejska Policji w Kielcach ustaliła dane personalne osób odpowiedzialnych za usunięcie kapliczki Matki Boskiej z ul. Sandomierskiej. 19 stycznia rzecznik kurii kieleckiej ksiądz Łukasz Zygmunt poinformował w komunikacie o dewastacji kapliczki. W rozmowie z lokalnymi mediami wyjaśnił, że o braku figury powiadomił proboszcza jeden z parafian. Klecha wszczął alarm w kurii, a ta zawiadomiła organy ścigania. Rzecznik kurii twierdził, że kapliczka została ścięta prawdopodobnie przy użyciu piły i skradziona. Podkreślił, że sprawcy zniszczyli przedmiot kultu religijnego. Jak się okazało, jedną z osób, która zabrała figurę, był jej fundator. Wziął ją celem odrestaurowania, ponieważ uległa zniszczeniu wskutek działania warunków atmosferycznych i jej stan budził niepokój. Prześladowania katolików nie ustają.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

✚ 16 stycznia w Sądzie Rejonowym w Myszkowie rozpoczął się proces o wydanie nieruchomości wytoczony przez archidiecezję częstochowską księdzu Danielowi Galusowi – założycielowi i liderowi wspólnoty Miłość i Miłosierdzie Jezusa. Przypomnijmy: ks. Galus od kilkunastu lat zamieszkuje teren pustelni w Czatachowie, która formalnie należy do kurii. Choć klecha od lat jest w karze suspensy, nie podporządkowuje się decyzjom arcybiskupa Wacława Depo i wraz z członkami swojej wspólnoty nielegalnie zajmuje pustelnię. Ks. Galus nazywa siebie prorokiem i przedkłada posłuszeństwo Bogu nad posłuszeństwo ludziom. Hierarchowie kościelni zaś określają wspólnotę jako noszącą znamiona sekty. Przyganiał kocioł garnkowi. Ksiądz Galus nie uczestniczył w rozprawie, sąd wezwał go na kolejną pod rygorem pominięcia dowodu z zeznań. Walka Kościoła z Kościołem trwa.

✚ W związku z wyrokiem TSUE w sprawie uznawania przez Polskę małżeństw jednopłciowych legalnie zawartych w innych krajach UE pojawiła się zapowiedź projektu rozporządzenia Ministerstwa Cyfryzacji dotycząca zmiany formularza aktów stanu cywilnego. Terminy „mąż” i „żona” zostałyby zastąpione neutralnymi płciowo formułami „małżonek 1” i „małżonek 2”. Podniecony tą perspektywą Instytut Ordo Iuris ogłosił, że oferuje pełne wsparcie prawne pracownikom urzędów stanu cywilnego, którzy wbrew swojemu sumieniu byliby zmuszani do sporządzania aktów stanu cywilnego „błędnie określających związek jednopłciowy jako rzekome małżeństwo”. Według katolickich fundamentalistów sytuacja wymaga obywatelskiego nieposłuszeństwa wobec działań rządu uderzających w tożsamość małżeństwa. Jak wiadomo, członkowie Ordo Iuris wzmacniają więzi małżeńskie, aż spadają im kodeksy z półek.

KLECHA

Kurioza

Sitwa pod Legnicą i moc literatury

Diecezja legnicka rzadko występuje w ogólnopolskich mediach – a szkoda, bo jest potencjał. Początek roku to burza w personaliach tej diecezji. Polecieli księża z samej góry: kanclerz kurii i sekretarz biskupa Andrzeja Siemieniewskiego.

Były już biskupi przydupas funkcjonuje teraz jako Tomasz K., albowiem jechał po pijaku i dał się złapać. 27 grudnia pędził na odpust do Jeleniej Góry (nie mylić z Jasną), a funkcjonariusze nie odpuścili, zatrzymali, kazali dmuchać i zabrali lejce. Zapewne spodziewał się na odpuście chlapnąć 0,7 dla kurażu, ale nieszczęśliwie tyleż promila wydmuchał i nie dotarł na uroczystość. Nie mają legniccy biskupi szczęścia do sekretarzy. Podchujaszczy poprzedniego, Tadeusza Rybaka, wsławił się z kolei relacją z młodym modelem nagłośnioną przez lokalnych dziennikarzy. Ks. Andrzej Jarosiewicz pozwał pismaków o zniesławienie, ale przegrał. Oprócz skłonności do męskiego piękna zarzucano mu także umiłowanie zapachu pieniędzy, co stanowiło mieszankę trudną do zniesienia dla heteroseksualnych, skromnie żyjących owieczek, i były kapelan ekscelencji został usunięty w cień.

W wydanym 22 grudnia przez kurię komunikacie ks. Tomaszowi K. poświęcono zaledwie jedno zdanie, nie wymieniając nawet z nazwiska. Po niemalże tygodniu wyszło na jaw, co przeskrobał, i teraz jego nazwisko jest tajne, choć łatwe do sprawdzenia. Główna część komunikatu poświęcona była dużo poważniejszej zmianie – na stanowisku kanclerza, czyli szefa kurii. „Legnicka Kuria Biskupia informuje, że z dniem 21 stycznia 2026 r. ks. Józef Lisowski, dotychczasowy kanclerz Legnickiej Kurii Biskupiej, przeszedł na emeryturę, a Biskup Legnicki Andrzej Siemieniewski urząd kanclerza powierzył ks. Piotrowi Kruczykowi” – czytamy w piśmie.

Ksiądz Lisowski to w regionie gruba ryba. Jego niespodziewane odwołanie z eksponowanego stanowiska lokalne media – a za nimi ogólnopolskie – wiążą z premierą książki Artura Nowaka „Kuria”, której ostatni rozdział poświęcony jest właśnie diecezji legnickiej. Józef Lisowski zajmuje w tym rozdziale poczesne miejsce, i nie jest to laurka. „Ksiądz Józef Lisowski to człowiek o ciężkiej posturze i jeszcze cięższym charakterze dla tych, którzy stają mu na drodze. Słyszę, że lubi perfumy i dobre auta. No i od niemal zawsze potrafi się wkręcić we wpływowe koterie. W szczególności umiłował sobie lewicę, a w zasadzie SLD, z którym doskonale się dogadywał. Noga powinęła mu się wiele razy, ale żaden biskup od początku istnienia diecezji nie zdjął go ze stanowiska kanclerza. Fizjonomia typowo księżowska. Ciężka, okrągła, nalana twarz znamionuje dobrze wykarmionego notabla. Jest na swój sposób pogodny i ma w sobie sporo spokoju. Dobrze zrobione zęby, czarne marynarki, zadbana siwa grzywka zaczesana na bok. Ale moi rozmówcy mówią, że jak zwykle to pozory, że w tym grymasie uśmiechu jest coś fałszywego, co tylko udawało dobroduszność” – pisze Nowak, opisując dalej intratne biznesy kanclerza budowane na towarzyskich podwalinach. A niedługo potem Lisowski leci na emerycki pysk.

Bardzo chcielibyśmy wierzyć w sprawczość literatury i dziennikarstwa, dla higieny psychicznej przyjmijmy więc tę interpretację zdarzeń jako prawdziwą. Ale ks. Tomasz K. najebał się na własne konto, jeszcze przed premierą „Kurii”. Piłeś, nie jedź – nawet gdy źle o tobie piszą.

MATT KOBOSKO

Rys. OBYWATEL JANEK

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 28.01.2026 r.

eprasa.pl 132b4b8a81

ŚŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Tego ranka prezes Jarosław Kaczyński jest zły jak osa – jak zresztą każdego ranka od kilku tygodni.

– Jak notowania? – pyta i aż krzywi się na spodziewaną odpowiedź.

– 22,1 i spada – ponuro odpowiada przewodniczący Mariusz Błaszczak.

– A Fideszu? – docieka prezes.

Przewodniczący nie jest przygotowany. Przez moment grzebie w papierach, szuka w komórce, wreszcie znajduje. – 38,6.

– I?

– I rośnie – dodaje Błaszczak.

Kaczyński wzdycha z satysfakcją. Przynajmniej braciom Węgrom jako tako idzie…

– Prezydent? – pyta i znów się krzywi.

– Nasz prezydent? 49,3 i spada.

– „Ufa" i „raczej ufa" czy tylko „ufa"?

– „Ufa" i „raczej ufa" – musi przyznać przewodniczący.

– Kto za prezydentem?

– Sikorski – Błaszczak robi minę jak po zjedzeniu cykorii. – 48,3.

– A…? – pyta Kaczyński, nie podaje nazwiska, ale Błaszczak wie, o kogo chodzi.

– 41,7.

– I?

– I rośnie – załamuje się przewodniczący.

– Jeszcze tydzień, dwa i prześcignie prezydenta – załamuje się prezes.

– Sikorski czy…?

Kaczyński milczy.

– Obaj – wzdycha po chwili.

– A co w Polsce 2050?

Błaszczak zdaje się nie rozumieć pytania.

– Właściwie bez zmian – odpowiada po namyśle.

– Czyli co? – dopytuje się Kaczyński. – Hołownia mówi coś, że nie wyklucza poparcia dla nas?

– Dokładnie tak nie mówi, ale daje do zrozumienia.

– Zuch! – cieszy się prezes. – Coś jeszcze?

– Henning-Kloska siedzi cicho jak mysz pod miotłą.

Kaczyński wyobraża sobie wielką jak konfesjonał pułapkę na myszy. Z równie wielkim kawałem sera.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN obchodzi urodziny. Ale **AGNIESZKI WOŁK-ŁANIEWSKIEJ** nie zaprosiła.

Senyszyn: – Nie zaprosiłam, bo wyjeżdżam na wakacje. Nikogo nie zaprosiłam, bo mnie nie będzie.

Wołk-Łaniewska: – Dobra, dobra, każdy pretekst wykorzystasz, żeby mnie nie zaprosić.

– Na wigilię Wigilii cię zaprosiłam, to nie przyjechałaś.

– Bym przyjechała, ale z Gdyni do Białegostoku daleka droga.

– Dobra, dobra, każdy pretekst wykorzystasz, żeby do mnie nie przyjechać. Ale skoro się tak upominasz, to już cię zapraszam na imprezę po powrocie. Zwłaszcza że to takie zabawne urodziny: 77, zwane „dwiema kosami".

– A ja słyszałam, że dwiema siekierami.

– Kosy czy siekiery: jest okazja do świętowania.

– Czuję się zaproszona. Zmieniając temat na mniej radosny – powiedz mi coś, proszę, jako profesorzyca od ekonomii: jak się dostaje „nisko oprocentowaną pożyczkę", to znaczy, że trzeba ją potem spłacić?

– Z wyżyn mojego profesorskiego autorytetu odpowiadam: tak. Pożyczka polega na tym, że się pożycza – czyli trzeba oddać.

– To kto odda 200 dużych baniek, które Donald Tusk pożyczył na zbrojenia z programu SAFE? Który to program – tu premier „nie zawahał się użyć czasami nadużywanego terminu" – jest „wydarzeniem epokowym"?

– No bo jest. Przez całą epokę będziemy to spłacać. Nawet przy oprocentowaniu rzędu 3,3 proc.

– Zwłaszcza że termin spłaty to jest bodaj 2070 r. Pewnie źle liczę, ale wychodzi mi, że do tego czasu spłacimy w odsetkach półtora raza tyle, co pożyczymy: 44 razy 3,3 proc. to 145 proc.. Czyli tak pod 300 dużych baniek.

– Nie do końca aż tyle, bo od kwoty spłaconej odsetek już nie będzie – ale płatnikami będą oczywiście kolejne pokolenia. Już wiadomo, że większość pójdzie na zamianę drogiego długu zaciągniętego w ubiegłych latach na tani dług unijny, czyli zyskamy na odsetkach, które już spłacamy. Pytanie, ile z reszty zainwestujemy w nasze zakłady zbrojeniowe, a ile wydamy na zakupy broni za granicą. Na szczęście dopuszczone są zakupy głównie w ramach UE, więc USA się na nas nie upasą.

– Na pewno jakąś metodę znajdą, żeby Donald się załapał na kawałek łapówki. A propos: jak ci się spodobał prezydent Nawrocki, który ogłosił, że w ogóle się nie czuje dotknięty występem Trumpa o frontowych dekownikach z krajów sojuszniczych?

– Ale opowiedz do końca: prezydent Nawrocki nie jest dotknięty, bo prezydent Trump nie mówił o nas: „Bo nie po to by mi mówił 48 godzin wcześniej, że jesteśmy *great warriors*". Pewnie miał na myśli grę na Nintendo.

– Szczerze powiedziawszy, ja za cholerę nie wiem, co robiliśmy w tym Iraku i Afganistanie – ale zarzut dekownictwa jest jednak nieco nieuprzejmy…

– Mnie się bardziej spodobała wypowiedź Nawrockiego o tym, że w ogóle nie poczuł się uspokojony zapowiedzią Trupa, że jednak nie napadnie na Grenlandię, albowiem „żeby zostać uspokojonym, musiałbym zostać zaniepokojony", a on „zaniepokojenia nie zdradzał", podczas gdy inni „uczestniczyli w niepotrzebnym podkręcaniu nastrojów"…

– Może Nawrocki ma trochę racji… Trump – jako przypadek pogłębiającego się otępienia czołowo-skroniowego – przejawia wyraźne oznaki rozhamowania, więc może lepiej go nie prowokować. Jak tego bachora z ADHD, co jak mamusia mu nie chce kupić lizaka, to się rzuca na ziemię i wali piąstkami. Jestem na przykład przekonana, że Trump porwał Maduro, bo nie mógł znieść, że Maduro go przedrzeźniał, jak tańczy. I co gorsza, jak przystało na Latynosa, tańczył lepiej… Toż ta zniewaga krwi wymagała. Choć z drugiej strony – ostatnio Nawrocki z takim impetem przypierdolił Trumpowi, że słuchałam ze szczerym podziwem…

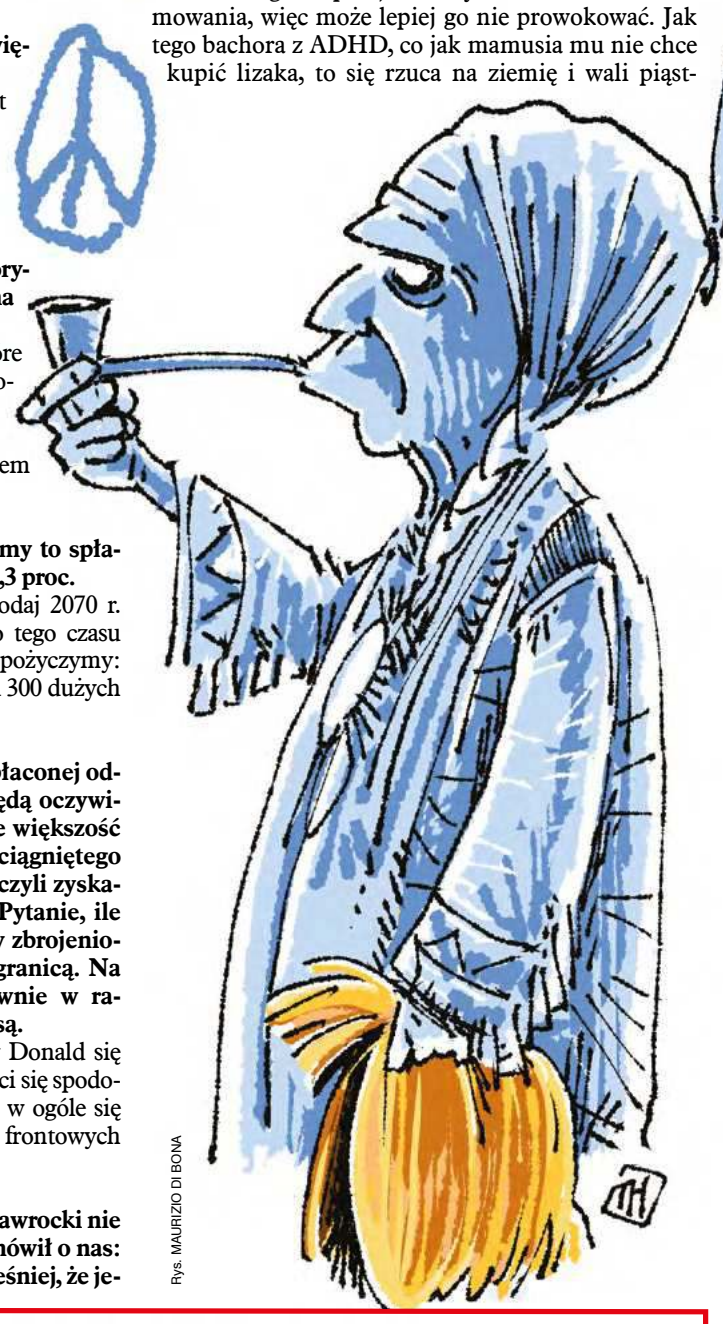

Rys. MAURIZIO DI BONA

– Jakoś mi umknęło, że Nawrocki nawrzucał Trumpowi. Gdzie to drugie w tym roku epokowe wydarzenie miało miejsce?

– W Oświęcimiu, w rocznicę wyzwolenia obozu. Czekaj, wynotowałam sobie: „droga do Auschwitz rozpoczęła się dużo wcześniej, w roku 1933 naród niemiecki poparł ideologię narodowego socjalizmu i pozwolił Adolfowi Hitlerowi dojść do władzy, naród niemiecki popierał Adolfa Hitlera w sposób gremialny i entuzjastyczny, III Rzesza Niemiecka przekraczała kolejne granice, także granicę życia i śmierci, świat się przyglądał temu, co dzieje się w III Rzeszy, świat pozwolił na zbyt wiele, do Auschwitz mogłoby nie dojść, gdyby odpowiednia reakcja była dużo wcześniej"…

– Rozumiem, że przewrotnie uznałaś tę wypowiedź za wezwanie do postawienia tamy trumpizmowi…

– Ależ to oczywiste. Trump też wygrał demokratycznie, naród go popiera gremialnie, ma tajną policję o specjalnych uprawnieniach, która wyciąga ludzi z domów i wyłapuje na ulicach, i która otwarcie morduje tych, którzy jej się sprzeciwiają, ma obozy koncentracyjne, do których wysyła wyłapanych, ma grupę prześladowaną wyselekcjonowaną pod kątem pochodzenia i koloru skóry – czyli pod kątem rasowym – na której ćwiczy, na ile może sobie pozwolić, ma wreszcie zupełnie niezawoalowaną ideologię Lebensraum w odniesieniu do „zachodniej hemisfery", czy to Wenezuela, czy Grenlandia…

– Nie da się ukryć, że Ameryka pod wodzą Trumpa ma cechy Niemiec z lat 30., ale większość nie chce tego widzieć. A Nawrocki, nie dość, że zakochany w Trumpie, to jeszcze ma za mały rozmiar kapelusza i jest zbyt tchórzliwy na takie przemyślenia – więc mu nie dodawaj, bo jeszcze ktoś uwierzy, że to drugi Turski. A zmieniając temat: czy rozważasz może emigrację do Walii?

– Jak dotąd o tym nie myślałam… A dlaczego?

– Bo Walia, jako pierwsza na świecie, chce wprowadzić przepisy, które uznają kłamstwo polityka w trakcie kampanii wyborczej za przestępstwo. Senedd Cymru, czyli walijski parlament, właśnie nad nimi pracuje, ale część posłów protestuje, bo obawia się, że to ograniczy wolność słowa.

– Ściśle mówiąc: mają rację. A poza tym nie wiem, czy chciałabym żyć w kraju, gdzie politycy nie kłamią. Jeszcze by się to udzieliło obywatelom i znaleźlibyśmy się w filmie Rickiego Gervaisa „Było sobie kłamstwo".

– Chyba nie widziałam. Ale zwracam ci uwagę, że niekłamanie nie jest tym samym, co mówienie prawdy, które faktycznie czasem bywa niepotrzebnie okrutne. Nie musisz mówić, że ktoś fatalnie wygląda. Możesz nic nie mówić. Natomiast za świadome kłamstwa w kampanii wyborczej powinna być jakaś kara. Najlepiej w postaci zakazu kandydowania w kolejnych wyborach. Wtedy nie trzeba by uchwalać kadencyjności, bo wszyscy politycy byliby tylko jedną.

– To ciekawa koncepcja. Myślę, że twoja partia powinna opracować taki projekt ustawy w charakterze inicjatywy obywatelskiej. Bardzo chcę zobaczyć tych posłów, którzy zagłosują za odrzuceniem jej w pierwszym czytaniu. Ale film koniecznie obejrzyj! Toczy się w równoległym świecie, w którym wszyscy zawsze mówią prawdę. Co odbija się na przykład na reklamach: „Pepsi. Kiedy nie ma Coca-Coli". Ale nagle ktoś – a konkretnie Ricky Gervais – odkrywa w sobie umiejętność „powiedzenia czegoś, co nie jest". I postanawia z niej skorzystać, żeby pocieszyć umierającą matkę, więc jej mówi, że jak umrze, to trafi do wspaniałego miejsca, gdzie są wszyscy jej zmarli bliscy i będzie znowu młoda, i będzie biegać i tańczyć, i dostanie tam wspaniałą rezydencję… Pielęgniarka to podsłuchuje…

– I tak się rodzi religia. Już pamiętam.

– No i nie uważasz, że świat bez kłamstwa byłby nieznośny?

– Gdyby miało to oznaczać również świat bez religii, jestem gotowa zaryzykować.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 132b4b8a81